Nr. 3. Lwów — Sobota dnia 4 Stycznia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, spisy uczt i zabaw tanecznych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiszczać z góry, z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ.
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . .
za słowo garmondem po . . .
Korespondencye prywatne . . .
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce . . .
Reklamy . . .
Nekrologia . . . 20 ct.
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: 4 św. Tytusa B. | 10 m. w Kr.
Jutro: 5 E. po Now. Roku | N. pered Rożd.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca g. 7 m. 58 — Zachód „ „ 4 „ 13
Długość dnia g. 8 m. 15 — Przybyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 3 stycznia.

Znany oficer żandarmski w Warszawie p. Margrafski wystąpił w *Moskiewskich Wiadomościach* z długiem doniesieniem o inteligencyi polskiej. Postanowił on udowodnić, że dziesięciu dyrektorów, wizytujących szkółki gminne, miejskie i wiejskie, w Królestwie Polskiem, jest za mało i że trzeba ich liczbę koniecznie powiększyć. Podaje on takie cyfry: po roku 1864, kiedy na każdą gubernię ustanowiono jednego dyrektora-wizytatora, było w Królestwie wszelkich szkółek chrześcijańskich i żydowskich 1133 publicznych, a 114 prywatnych; w roku 1882 było już ich razem 3584, a teraz jest jeszcze więcej. Już to wskazuje, że potrzeba liczba wizytatorów nie wystarcza. Najmniej szkółek jest w Piotrkowskiem, bo tylko 123; nauka trwa od 15 listopada do 1go kwietnia, a więc, po odliczeniu świąt i niedziel, dni 93. Jasną tedy jest rzeczą, że wizytator, który zechce inspekcyi szkółek dokonać, musi zwiedzić kilka tysięcy exhibitów, nie jest w stanie, pomimo najlepszych chęci, gruntownie wypełniać swych obowiązków. Jeszcze trudniejsze jego zadanie w innych stronach kraju, naprzykład w Kieleckiem, gdzie szkółek 414, a nauka także trwa przez niespełna sto dni.

Naszem zdaniem, p. Margrafski, przytoczeniem tych cyfr, zupełnie dopiął celu. Jeśli wizytatorowie nie są pedagogami, a tylko „dziejatelami wiejskiej Rosyi," jak ich nazywa w znanej swej książce szlachetna Rosyanka p. Łańska; jeśli nie są wyżłami, węszącymi zmyślone spiski, aby doniesieniami o nich zarabiać na order; jeśli z rodziców nie wyciskają łapówek, a dzieci nie gnębią za każde słowo polskie, za myśl katolicką; jeśli w ogóle są oni na cokolwiek potrzebni, to ich za mało. Na tem powinien był poprzestać p. Margrafski.

Lecz czy dusza żandarmska, czy zakorzeniony w Królestwie sposób patrzania na wszystko z policyjnego punktu widzenia — coś ponosiło tego pana na delatorskie pole. Porzucił wymowne cyfry i począł szeroko prawić, że „polska inteligencya, przeniknięta do szpiku kości bezsilną złością, o ile możności, chce chłopa nauczyć nienawiści do Moskali (wyrazu tego użył autor) i w tym celu posługuje się ojczyzną." Zdaniem p. Margrafskiego, ruch ten płynie do Królestwa z Galicyi, która tego nazywa „politykującym" Polakom. Tu autor mylnie przedstawia to, co się u nas dzieje i z czego stara się wyciągnąć argument na korzyść swego wniosku o konieczności powiększenia w Królestwie liczby wizytatorów szkół. Posłuchajmy go.

Ludowy kierunek panuje niepodzielnie w Galicyi. Hasłem, przyjętem przez wszystkie stronnictwa, jest: „Przez uświadomiony lud do niepodległej Polski!". Nawet konserwatystów ruch ten porwał, nawet stańczycy i magnaci zabarwiają się na czerwono; dumni arystokraci zbliżają się do demagogów, arystokratki jeżdżą na herbatę do studenckich nor (kanur), posłowie, utytułowani członkowie klubu autonomistów stają przed zbieraniną wyborców na tak zwanych sejmikach relacyjnych. Konserwatyści noszą płaszczyk austryacki, w którym wcale im nie do twarzy; w gruncie rzeczy oni, jak wszyscy inni, chcą dążyć do odbudowania Polski i do spolszczenia galicyjskich Rosyan. Ale działalność ich nie ogranicza się tylko na Galicyi, na co jawnym dowodem jest to, że założyli gimnazyum w Cieszynie, a dowodów ukrytych może wiele dostrzedz administracya rządowa w Królestwie. Teraz naprzykład kursują po nim ulotne pisemka, wydawane przez założone niedawno na wzór niemieckiego Schulvereinu stowarzyszenie „Szkoły ludowej" i innego stowarzyszenia „Macierzy Polskiej". Jedno z tych pisemek nosi tytuł „Nasz Program", a dowodzi, że powstania nie doprowadziły do niczego, trzeba więc tylko strzedz ducha narodowego, bronić każdej piędzi ziemi, wychowywać lud, zbliżać się do niego, dostarczać mu odpowiednich książek, a zaniechać wszelkich politycznych dążeń. Oburza to żandarmską duszę p. Margrafskiego; on wolałby spiski, ale pociesza się tem, że taki program jest rzeczą spiskową. Druga broszurka, kursująca po Królestwie, ma tytuł: „Włościanin, pańszczyźniane prawo i podział ziemi". Treść tej ulotnej broszurki zamyka się w czterowierszu, dodanem na końcu: „Czy wiecie na nowo kto Polskę zbuduje? — Nie szlachta, ani magnaty: lud wiejski, co ciężko przy pługu pracuje, co kocha swe łany i chaty!".

Więc zdaniem rosyjskiego autora, taką broszurę przemycają z Galicyi do Królestwa „utytułowani członkowie klubu autonomistów", jaśnie wielmożni stańczycy! Trudno zaprzeczyć: p. Margrafski jest pełen dobrych chęci, ale jeśli prawdą, że mu specyalnie powierzono studyowanie prądów galicyjskich, to trzeba przyznać, że nie dorósł do tego zadania.

Rosyjski autor powiada dalej, że ta propaganda galicyjska już wydaje owoce. „Patryotyczne plewy" osiadają wśród wiejskiego ludu w Królestwie, jeśli nie wskutek miejscowego wpływu, to zagranicznego. W wielu miejscowościach chłopi zaczynają podejrzliwie spoglądać na cele rosyjskiego rządu. Tak na przykład w powiecie nowo-aleksandryjskim (dawniej puławskim) gubernii Lubelskiej, w całej tak zwanej „zaatorowskiej" gminie, chłopi z czcią wspominają o swych dawnych panach, stronią od rządowych szkółek, sami uczą dzieci czytać z książeczek zagranicznych i z przyjemnością wdają się w gawędy z inteligencyą. Zwrócono już uwagę na ten niebezpieczny objaw i prowadzono śledztwa kryminalne. Nie ulega żadnej wątpliwości, że inteligencya polska dąży do wolnej Polski za pomocą oświaty ludu. A że istotnie oświata jest tylko środkiem, celem zaś — polityka, przekonywa się p. Margrafski w pełni na setce podanych faktów, czerpanej znowu z działalności krakowskich jezuitów, arystokratek, spijających herbatę w studenckich „norach" i jaśnie wielmożnych stańczyków, przy pomocy, naturalnie, „Szkoły ludowej" i „Macierzy", panów szlachciców i akademików.

Bibułki papierowe sprzedawane są w okładkach, na których Kościuszko w konfederatce i sukmanie, u dołu wyraz: „Wielki, wielki stał się ten lud, cały polski lud". — Fotografie różnych bohaterów zaopatrzone są w tekst, który tłómaczy, co tacy Stanisławowie niby-to zrobili dla ludu. — W Krynicy i Zakopanem przyjezdni z Królestwa dają rosyjskie pieniądze na „Macierz" i na „Szkołę ludową", i na kaplicę łacińskie, i na różnych Mickiewiczów.

Z tego wszystkiego p. Margrafski wyciąga takie wnioski: Niezbędnie potrzeba: 1) zwiększyć liczbę dyrektorów; 2) ze szczególną troskliwością dobierać nauczycieli ludowych; 3) pourządzać rosyjskie biblioteczki wiejskie, skoro już chłopi chcą czytać.

A zatem wszystko się ściąga do kwestyi chleba i zwiększonego nadzoru. Inaczej nie może rozumować czynownik i do tego żandarm. Powiększyć liczbę dobrze płatnych inspektorów, powiększyć etat nadzorców policyjnych, nauczycieli dobierać takich, aby zarazem węszyli wszędzie spisek, wreszcie napchać do szkółek jak najwięcej wydawnictw ludowych rosyjskich, a wszystko będzie dobrze — naturalnie dopóty, dopóki znowu nie znajdą się amatorowie dobrych posad.

Nie wiemy, czy wykształceni Rosyanie kładli się od śmiechu, czytając wywody p. Margrafskiego o politycznem znaczeniu bibułek i o tem, że arystokraci polscy rozrzucają między ludem broszurki, dowodząc, że „nie szlachta, ani magnaty" lecz lud wiejski zbuduje Polskę. Dla nas jednak nie ma w tem nic nowego. Ten strzał żandarmski, lubo naładowany wierutnemi bredniami, zapowiada „zwiększony nadzór", a wiemy, że w języku rosyjskiego czynownictwa oznacza to tropienie spisków z koniecznem objawieniem wynalezienia ich, wpadanie po nocach do domów prywatnych, rewidowanie, porywanie niewinnych ludzi i pędzenie ich na wygnanie, bo — „władza nie może się mylić". Są panowie Margrafscy, więc powinna być dla nich robota. Nie brakuje jej, Polacy, — tem gorzej! Panowie Margrafscy sami postarają się o to.

Rząd turecki przyznał się nareszcie do istnienia konstytucyjnego stronnictwa między muzułmańską ludnością, o co jeszcze gorsze dla niego, w kołach wojskowych. Urzędowa depesza doniosła z Konstantynopola, że za udział w spiskach zdegradowano koniuszego sułtańskiego, jenerała Izzet-beja, byłego pełnomocnika wojskowego w Petersburgu i kilku jenerałów, kilku urzędników ministeryalnych i kilku adjutantów padyszacha. Po degradacyi wszystkich ich wygnano do Mosullu w zapadłym kącie Azyi Mniejszej. Wnet potem drugi telegram doniósł o aresztowaniu bardzo wielu wyższych urzędników, oficerów i wybitnych obywateli. Wszyscy oni należeli do tajnego komitetu, który jakoby pracował nad rozpowszechnieniem dążności do reform, podnosząc w swych odezwach, rozsyłanych poufnie, że muzułmanie ponoszą większe ciężary, niż chrześcijanie, wyłącznie służą wojskowo, prawie sami zasilają skarb publiczny, a tak samo nie mają żadnych praw, jak Ormianie, Kreteńczycy i Macedończycy, za którymi ujęły się mocarstwa i coś dla nich uzyskały, podczas gdy nikt nie wchodzi w ciężkie położenie Turków. A jednak oni tylko są podporą państwa, oni jedynie mają Turcyę za ojczyznę i ratować ją powinni. Jeśli nic więcej nie było w tych odezwach, to niepodobna pojąć, jak za tak godziwe życzenia można degradować ludzi i wysyłać na turecką Syberyę. Widocznie stary duch panuje jeszcze w rządzie ottomańskim, pomimo ciężkich doświadczeń, przez które przeszedł sułtan, a jeśli tak, to nic dziwnego, że z azyatyckich kątów tego państwa znów nadchodzą wiadomości o zaburzeniach — i nie dziwne będzie, gdy ono całe zawali się, pomimo ratunkowych zabiegów dyplomacyi.

Wiadomo z telegramów, że ambasadorowie zamierzyli ofiarować sułtanowi pośrednictwo mocarstw w układach z Ormianami, zajmującymi Zajtun. Ta nowa akcya ambasadorów naprowadziła na domysł, że zbliża się chwila, w której Rosya wykona swój domniemany zamiar zaokupowania Armenii. Dyplomatyczne sfery rosyjskie w różnych stolicach natychmiast postarały się o krótkie notatki w dziennikach o tem, iż Rosya od początku sprawy tureckiej stale wyrażała przekonanie, że sama Turcya może i powinna zaprowadzić ład u siebie, a nikomu nie wolno występować w roli pacyfikatora. Czy ta notatka zaznacza istotną prawdę, czy też pojawiła się po to jedynie, aby nie obudzić niczyjej czujności, o tem już rychło przekona dalszy przebieg sprawy.

Korespondencye.

Wiedeń 31 grudnia.

Rząd austryacki wykupił znowu z zapasów kasowych za 10 milionów kwitów żupnych i wycofał je z obiegu, odpisawszy tę kwotę z pozycyi państwowego długu bezterminowego. Jak wiadomo, kwitów żupnych obiegać mogło za 100 milionów zł. Już za ministerstwa Plenera zakupiono jednak i z obiegu wycofano tych kwitów za 10 milionów, obecnie znów umniejszono obieg kwitów żupnych o taką samą sumę, pozostaje tedy jeszcze do umorzenia 80 mil. w tych kwitach. Ustawą z roku 1894 upoważniono rząd do zaciągnięcia pożyczki w kwocie 30 milionów zł. na częściowe umorzenie tych kwitów. Rząd jednak jak widzimy z upoważnienia tego nie korzystał dotychczas, gdyż i poprzednie 10 milionów i teraźniejsze, umorzył nie przez zaciągnięcie pożyczki, lecz z zapasów kasowych.

Uszczuplenie maksymalnego obiegu tych kwitów jest bardzo ważnem, choćby z tego powodu, że skarb państwa od tych kwitów opłacać musi procenta po 3 i $3^1/_2$, a zatem z każdym wycofanym milionem zaoszczędza w procentach 30—35.000 zł. rocznie. A i na uregulowanie waluty niedobrze musiałby wpłynąć obieg papieru, mającego na pół charakter pieniądza, a na pół obligacyi państwowej. Już i tak mamy i długo zapewne mieć jeszcze będziemy zbyt wiele gatunków pieniędzy: guldeny srebrne, korony złote i srebrne, banknoty a prawdopodobnie będziemy mieli także certyfikaty opiewające na srebro, konieczne z powodu utrudnionego obiegu zbyt wielkiej ilości białego kruszcu. Im więcej uprościć się uda forma pieniędzy, na tem pewniejszych podstawach oprze się ostatecznie uregulowana waluta. Jednoreńskowe noty prawie całkiem już wycofane są z obiegu, bo choć wedle obliczeń urzędowych jeszcze $1^1/_2$ miliona not tych znajduje się w rękach prywatnych, na pewno jednak przyjąć można, że tylko bardzo mała część tej kwoty zgłoszoną zostanie jeszcze w kasach rządowych do wymiany na srebro lub banknoty. Zawsze bowiem przy wycofywaniu pieniędzy papierowych z obiegu pewien procent ginie. Zniszczył te pieniądze sam obieg, lub zostały one gdzieś zatracone, spalone lub zniszczone. W prywatnych wypłatach nikt od 1-go stycznia 1896 nie jest już zobowiązanym przyjmować jednoreńskowych not. Na pocztach, w urzędach podatkowych i innych kasach państwowych, przyjmować je będą jeszcze do 30 czerwca 1896, a w kasach centralnych aż do 31 grudnia 1899.

W rokowaniach między austryackim i węgierskim rządem, które rozpoczną się zaraz po Nowym Roku, a które dotyczyć będą ugody handlowo celnej, rozdziału wspólnych ciężarów i innych kwestyi, rozstrzygnąć też wypadnie stosunek obu połów monarchii do banku austro-węgierskiego. Bez uregulowania tego stosunku o stałej walucie mowy być nie może. Godzi się przypomnieć, że bank w roku zeszłym, kiedy sprawę przedłużenia jego przywileju poruszono w publicystyce i w rozprawach parlamentu, tak niezwykle wygórowane stawiał żądania, jak gdyby niepodobieństwem było stworzyć innej instytucyi bankowej i jakby rządom za tak cenne ustępstwo, jak prawo wydawania banknotów żadna nie należała się kompensata. Dość głośno posądzano wtedy pewne sfery węgierskie, że podtrzymują bank austro-węgierski w jego uroszczeniach. A było to — jeśli posądzenie owe choć w części opierało się na prawdzie — bardzo nieostrożne. Bank widocznie sądził, że oba rządy będą się spierały o udział w zyskach banku, o granice nadzoru nad bankiem, o sumę depozytów w złocie, a on tymczasem zyska ten cenny przywilej za darmo.

Oddawna już bankowi zupełnie słusznie zarzucano, że prowadzi politykę więcej kupiecką, niż godną wielkiego, przez państwo tak nadzwyczajnemi prawami wyposażonego instytutu. W roku ubiegłym n. p. skupował bank kwity żupne, aby — kosztem państwa! — oprocentować chwilowo swoje nieużyte kapitały. Bez względu na potrzeby poważnego kupiectwa, wzrastające zawsze w jesieni, udzielał w miesiącach letnich pożyczek spekulantom giełdowym, kantorom wekslowym i wyczerpywał swoje środki, nie podnosząc stopy procentowej. Filie i kredyt hipoteczny zaniedbywała instytucya ta zupełnie, ogromne zaś fundusze poświęcała Węgrom, tak, że kredyt użyczany przez bank austro węgierski Węgrom w żadnym nie stał stosunku, ani do udziału Węgier we wspólnych ciężarach monarchii, ani do potrzeb ich ludności (w porównaniu z potrzebami Austryi)!

A kiedy bank warunki swe miał przedłużyć rządowi, usłyszeliśmy, że żąda zapłacenia od razu długu 77 milionów zł., zaciągniętego swego czasu przez Austryę, nadto żąda większej wolności administracyi i oddania mu przez rządy wszystkich zapasów kasowych. Żądania te były wprost nieskromne.

Jeśli bank ma stać się instytucyą reprezentującą pewność waluty swemi zasobami i swą administracyą, musi zrzec się łatwych zysków, musi poddać się pod ścisły nadzór rządów, zastosować się do potrzeb nietylko Wiednia i Budapesztu, ale i krajów, zgodzić się na większy udział państwa w jego zyskach, a przedewszystkiem musi zerwać z tradycyami instytutu — kupieckiego.

Rzym 28 grudnia.

Podobnie, jak u nas, we Włoszech w wigilię Bożego Narodzenia każda rodzina urządza u siebie obiad postny o późnej godzinie, t. zw. *cenone*. Ale kto tutaj, w Rzymie, ma wiele do roboty na święta Bożego Narodzenia, to kardynałowie. Stary, dyplomatyczny zwyczaj wymaga, aby wszyscy kardynałowie, *in curia*, t. j. mieszkający w Rzymie, winszowali i składali świąteczne życzenia piśmienne nietylko wszystkim kolegom, ale i wszystkim panującym, gdyż jako książęta kościoła uważani są na równi z członkami rodzin panujących.

Oto lista osób rodu królewskiego, którym kardynałowie obowiązani są posyłać oficjalnie powinszowania i życzenia Nowego Roku: Cesarz i Cesarzowa austryaccy, królowa (rejentka) hiszpańska, król i królowa portugalscy, król i królowa belgijscy, król i królowa sascy, król (rejent) bawarski. Król i królowa włoscy oczywiście są wyłączeni z listy. Królestwo rumuńscy nie są na spisie, chociaż król jest katolikiem, ale królowa jest protestantką, przytem od czasu, kiedy brat króla rumuńskiego, ks. Hohenzollern (katolik), złamał piśmienne zobowiązanie wychowania dzieci w wierze katolickiej, Stolica Apostolska nie widzi racyi wprowadzania pary królewskiej do listy, przedstawianej kardynałom.

Listy powyższe winny być w całości pisane ręką kardynała po łacinie lub też po francusku i to zawsze z datą d. 25-go listopada, choć wysyłane bywają w grudniu na ręce nuncyusza papieskiego, który je doręcza pod właściwym adresem. Życzenia, jakie kardynałowie między sobą składają, są już mniej ceremonialne, krótkie i najczęściej w formie dru-

18)

NIEDYSKRECYA

NOWELA

przez **Wincentego hr. Łosia.**

(Ciąg dalszy).

Bela ruszył ramionami. Sam, nie mogąc dłużej przy nim pozostać, wybiegłem na miasto. Pusto już było na ulicach, jakby po zarazie. Głucho, jakby w nocy. Sklepy pozamykano. Mieszkańcy schronili się do piwnic, oczekując lada chwila wejścia Turków, czy roznamiętnionych powstańców. Tylko zdala z improwizowanych fortów i redut, przeszywał powietrze w tej grobowej ciszy szczęk broni i huk zataczanych na stanowiska armat i przeróżne, różnych rodzajów broni, sygnały.

Już ani jednego nie znalazłbym w mieście żołnierza. Już oddział mój dawno poprowadził wachmistrz na szerokie od granicy błonie. Dobiłem się do mojej własnej kwatery, gdzie zastałem list, zaadresowany obcem mi pismem.

List pochodził od Titäi i brzmiał:

„Wyjeżdżamy do Pesztu, gdzie oczekiwać będę wiadomości o losie Czákvara. Nie zwlekaj pan z nią. Proszę!"

Następnie adres i data.

Zaśmiałem się.

— Będzie rozstrzelany! — szepnąłem przez zęby i rzuciłem się na sofę z takim w głowie chaosem, pochodzącym z tych różnorodnych wrażeń, iż czułem potrzebę wypoczynku.

Nawet mi nie dolegała okoliczność, iż ze wszystkich sił zbrojnych, nagromadzonych w Somborze, ja sam jeden, prócz kilku inwalidów w szpitalach, bawiłem w mieście. Nie intrygował mnie też ten alarm, nie mogący być niczem innem, tylko zwiastunem jakichś nadzwyczajnych i przez nikogo nieprzewidywanych ruchów od granicy Bośnii.

Wszystko mi było obojętnem, dlatego może, że Bela był skazanym, nie było dla niego ratunku, a w najlepszym razie, w zamianie przez monarchę kary śmierci na dożywotnie więzienie, nie widziałem dla niego nic lepszego.

Wolałbym co do siebie od razu zginąć raczej, jak niszczeć w jakiejś węgierskiej fortecy.

Machinalnie jeszcze trzymałem bilet Titäi, napisany charakterem wyraźnym i pewnym, czystym i pięknym.

— To być nie może! — myślałem — by ta kobieta, co mogła... Przypuszczając to, myliłem się, mylił się niemniej i Czákvar...

Cisza, panująca w mieście przed chwilą ruchliwem i pełnem życia, nasuwała mi tysiąc smutnych myśli.

Żałowałem Beli, że drugi raz jeszcze w życiu miał przechodzić ostatnie straszne przedśmiertne chwile.

XV.

O czwartej po południu zaczęło miasto powoli się zaludniać. Mieszkańcy po jednemu wychodzili ze swych kryjówek, a wojska powracały na stanowiska.

Postanowiłem nie opuszczać mojego mieszkania, a to głównie z obawy dowiedzenia się, że wyrok Beli został wykonany. Kwatera moja leżała opodal koszar, w których przebywał Bela, i co chwila nadsłuchiwałem odgłosu podobnego do tego dziwnego i złowieszczego huku, jaki wydają wystrzały równoczesne z kilkunastu karabinów.

Tak, w oknie mojego pokoju, pożerany ciekawością, rozgorączkowany trwogą, przesiedziałem kilka godzin, sprawdzając, że miasto powracało do swego normalnego stanu.

Nad wieczorem dopiero wszedł do mnie rotmistrz, zmęczony, ale pogodniejszy i już spokojny. Rzuciłem się ku niemu jak ku wybawcy. Nie potrzebowałem go o nic pytać, bo się domyślił mojej trwogi i zagadnął:

— Bela ocalony.... Gdyśmy powrócili z tej iepospolitej komedyi, zastał już komendant depeszę monarchy.... Cesarz wstrzymał wykonanie wyroku... A więc może się to wyjaśni.... Zawsze jednak życie lepsze od śmierci, mówią ci, którym ona zbliska zajrzała w oczy...

Milczałem, a książę dalej ciągnął:

— Gdyby nie ten alarm, byłoby wszystko skończone. Bela byłby... trupem. Lśniący huzar pierwszy byłby w pułku rozstrzelany... Wiedziałem, że depesza na czas przyjść nie mogła. Wczoraj nie wierząc, by Czákvar nie zdołał się uniewinnić, zapóźno na wysłanie jej się zdecydowałem ..

Ten alarm nas wybawił. Jabym był chyba nie przeżył śmierci Beli... Byłem zdecydowany łeb sobie roztrzaskać.

— Wytłómaczże mi ten zbawczy alarm! — podchwyciłem.

— Nikt nie wie — prędko odparł rotmistrz — będzie z tego wojenne śledztwo.. Ja sam...

Urwał, ale mnie wysoce zaciekawił. Zapytałem więc, prosząc go usilnie o wytłómaczenie mi tego niebywałego prawie wypadku.

Galavicini mówił:

— Jak wiesz, w stanie oblężenia, co trzy dni komendant wydaje tak zwane hasło, które jest w czasie wojny osią wszystkich tajemnych działań. Hasło to nikomu nie może być znanem, prócz osobom powołanym w dniach hasła do funkcyi najważniejszych. Dzisiaj winni je byli znać tylko komendant Somboru, dowódzca bateryi, spełniający misyę pieczy nad miastem, oficer będący dyżurnym komendantem służby patrolowej i wywiadowczej i kilku innych. Żołnierz prosty przychodzący do jednego z nich z tajemniczem słowem na ustach, wywołuje odpowiedni skutek, jak dziś — alarm! Niedyskrecya, co do hasła jest zbrodnią, karaną śmiercią w czasie wojny...

— Cóż więc dziś będzie? Kto się dopuścił zdrady? — zawołałem.

— Nie wiem! — odparł Galavicini — śledztwo wykaże...

Obserwowałem jego fizyognomię, ale ona mi nic stanowczego nie mówiła. Mimo to, księcia uważałem za sprawcę zamięszania, bo inaczej nie mogłem sobie wytłómaczyć cudownego zbiegu nadzwyczajnych okoliczności, odraczających rozstrzelanie i wybawiających Czákvara. Ale jak on posiadł hasło? jak je zużytkował? Pytać go więcej nie śmiałem, domyślając się, że to będzie na długo, jeśli nie na zawsze jego tajemnicą.

W kilka dni później przewieziono Belę do głównego fortu w Peszcie, w którym się znajdowało więzienie dla zbrodniarzy jego rodzaju.

W mieście, z wyjazdem Teszanjich, ucichło. Świeża zbrodnia wywołała wrażenie, które wesołemu Somborowi inny zupełnie nadało charakter. W pułku naszym zapanował nieopisany smutek. Ubytek w nim dwóch lubianych, najweselszych i najpiękniejszych madziarów, przypominał co moment każdemu, iż lśniący pułk już nie miał prawa szczycić się ze swej dżentelmeńskiej nieskazitelności. Jedni boleli nad wypadkiem, inni na nim cierpieli. Nikt nań nie pozostał obojętnym. Najwięcej zaś opłakiwał go Galavicini, będący, jako poeta, duszą chwały i sławy czwartego pułku, będący osobistym przyjacielem dwóch zniknych na zawsze oficerów, będący wyjątkowo artystyczną i rycerską duszą, patrzącą na wszystko z tego odrębnego i wyniosłego stanowiska.

W Somborze już roku tego czwarty pułk nie zakipiał życiem, ani nie zaszumiał wesołością.

Opuściliśmy miasto to w jesieni powracając znów przez Keczmecką puszczę, która nam się smutną wydała i grobową nad wszelkie pojęcie.

Abugörö tylko, którego dosiadałem, rżał żałośnie, jakby nawołując swe stado i przypominał żołnierzom, że w drugim szwadronie dwa były opustoszałe, niedawno jeszcze, tak świetnie, zajmowane miejsca.

A Galavicini siedział zgarbiony na koniu i milczał. Komponował on wtedy pieśń, którą czwarty pułk śpiewa odtąd, ile razy sobie przypomni swój wojenny pobyt w Somborze.

Pieśń ta pozostanie, zdaje się, na wieki w naszym pułku, a brzmi ona tak, śpiewana na smutną nutę:

Czwartego pułku minęła już sława,
Jak brylant, czysta i lśniąca,
Bo ją splamiła niejasna sprawa,
Po dziś dzień w pomroku śpiąca.

Hej! piękne Węgier dziewczęta
Odsłońcie teraz oczęta,
Czwarty pułk nie lśni już blaskiem,
Nie razi, jak słońce, rannym brzaskiem.

Szlify huzarów kir czarny pokrywa,
Żal za kolegą, radość z serc wyrywa,
Tajemnic niepokój pogodne im ryje czoła,
Już nie słyszą nawet, gdy dziewczyna woła.

Gdzież się podziały dni złotej swobody?
Gdzież te biesiady, wesołości gody?
Spłoszył je z lśniących huzarów lica
Robak obrzydły, zwany „tajemnica".

Pieśń tę nuciliśmy już, domaszerowując do Pesztu. Wyszliśmy zeń przed pięciu miesiącami w komplecie i nucący hulaszczą piosnkę. Powracaliśmy także w komplecie ludzi i koni, ale bez Beli i Gyuli.

Powracaliśmy z nabytkiem cichej puszczy Keczmeckiej, z złotym Abugörö, ulubieńcem całego pułku, który jeden swym szlachetnym wzrokiem zdawał się mówić, że zna tajemnicę, jaką każdy z oczu jego wyczytać pragnął.

Ile razy się do niego zbliżałem, to szlachetny zwierz spoglądał na mnie krótko i odwracał się, otwierając chrapy, jakby wietrząc swego pana, Belę Czákvara.

On jeden w pułku jeszcze na niego czekał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

kowanych blankietów z podpisem Jego Eminencyi. W południe w Wigilję kardynałowie zbierają się w Watykanie i przez usta dziekana św. kolegium składają życzenia Ojcu św., przy której to sposobności Papież ma krótką alokucyę.

Intryga urzędników rosyjskich.

Z Warszawy piszą:

Od roku już w dziennikach rosyjskich zjawiały się głuche wzmianki o tem, iż w ministerstwie spraw wewnętrznych opracowuje się projekt zastosowania do Królestwa Polskiego ogólno-rosyjskiej ustawy o samorządzie miejskim.

Samorząd miast ustanowiony został w Rosyi centralnej w roku 1870, jako jedna z ostatnich tak zw. liberalnych reform Aleksandra II Zanim wszakże zdołał się należycie rozwinąć i utrwalić, zanim go zdążono rozciągnąć na całe państwo — już era „liberalizmu“ minęła, a całe panowanie Aleksandra III było okresem bezwzględnej na wszystkich polach życia państwowego reakcyi.

Zaczęła się więc kampania dziennikarska przeciwko instytucyom w okresie liberalnym powstałym, a w ślad za tem przystąpiono do prawodawczych zmian, poprawek i przeróbek w duchu reakcyjnym. Ograniczono kompetencyą sądów przysięgłych, ustawy sądowe popsuto i poplątano, tak, że dla rozplątania ich trzeba było przed rokiem wysadzić specyalną komisyą, pomieszano władzę sądową z administracyjną w osobie „naczelników ziemskich“, związano i skrępowano autonomią ziemstw, a wreszcie, przerobiono z gruntu ustawę o samorządzie miejskim, ogłaszając nową jej redakcyę w roku 1892.

Ten nowy, obkrajany, zwężony, uzależniony najzupełniej od urzędników administracyjnych samorząd miejski rozciągnięto już, nietylko, na Rosyą centralną i Syberyą, ale i na tak zwany „Kraj zachodni“, to jest Litwę i Ruś, z czego widoczna, że rząd był spokojny co do politycznej obojętności i bezbarwności tej reformy. Ta to, właśnie, ustawa z roku 1892 miała być, wedle wieści z Petersburga, rozciągnięta obecnie i do Królestwa Polskiego.

Jakoż wyczytaliśmy w dziennikach petersburgskich wiadomość już najzupełniej kategoryczną, że departament gospodarczy ministerstwa spraw wewnętrznych opracował przedwstępny projekt rozciągnięcia do Królestwa Polskiego ustawy miejskiej i że dla lepszego zbadania sposobów wprowadzenia tej reformy jadą do Warszawy trzej wyżsi urzędnicy ministerstwa, pp. Kabat, Grigorjew i Ostrogradzkij.

W rzeczy samej panowie ci przyjechali, a w przypadkowych rozmowach, jakie mieli z paru znajomymi w Warszawie, bynajmniej celu swego przybycia nie taili.

Rzecz naturalna, iż wieść o nowej reformie wywołała żywe zainteresowanie się w kołach polskich. Zaczęto czynić przypuszczenia i rozważać, czy reforma ta przyniesie nam korzyść, czy szkodę, czy mamy jej sobie życzyć, czy też się jej obawiać.

Zdania się podzieliły. Jedni — pesymiści — dowodzili, że to będzie jedynie nowy środek ucisku i rusyfikacyi, jeden krok dalej do zniesienia odrębności Królestwa Polskiego od reszty państwa, podczas, gdy zwolennicy polityki oportunistycznej skłonni byli przypuszczać że samorząd, jakkolwiek ciasny i okrajany, będzie zawsze bądź, co bądź lepszy, aniżeli dzisiejsza samowola administracyi municypalnej, czysto biurokratycznej i niekontrolowanej Dwa pisma do tego ostatniego kierunku należące: *Słowo* i *Kraj*, powitały nawet wprost zapowiedzianą reformę, jako rzecz pożądaną.

Tymczasem, zachowanie się komisyi ministeryalnej wydało się od razu dość dziwnem. Przyjechawszy badać miejscowe stosunki, pan Kabat i jego towarzysze nie uznali za rzecz potrzebną zapytać się o cośkolwiek miejscowych obywateli i naradzali się wyłącznie z urzędnikami.

Do rozpatrzenia projektu zreformowania obowiązkowej asekuracyi od ognia, który przywiózł ze sobą p. Ostrogradzki, wezwano dwóch gubernatorów i jednego urzędnika z kancelaryi jenerał gubernatora. Rzecz oczywista, iż panowie ci znają się na sprawach asekuracyjnych, jak kura na pieprzu. To też po posiedzeniu tej komisyi, na którem p. Ostrogradzki, przez półtorej godziny bardzo gorąco swego projektu bronił, ogłoszono w *Warsz Dniewniku* komunikat, że komisya uchwaliła żadnej zasadniczej reformy asekuracyi nie wprowadzać.

Pan Kabat bawił ogółem w Warszawie kilka dni, obejrzał kanalizacyą, biuro adresowe i straż ogniową, wyjechał na dwa dni do Skierniewic, Łowicza i Łęczycy i wnet powrócił do Petersburga, a w parę dni po jego powrocie zjawiła się depesza w *Mosk. Wied.*, donosząca, że zamierzone wprowadzenie ustawy miejskiej w Królestwie Polskiem zostało odłożone na czas nieograniczony.

Co się stało? Cóż to takiego zobaczył, czegoż to dowiedział się p. Kabat przez czas krótkiej swej wizyty, co w niwecz obróciło ministeryalne plany i całą przygotowawczą robotę? Ażeby to zrozumieć, dość jest czytać uważnie *Warsz. Dniewnik.*

Wzmiankowaliśmy już na tem miejscu, że urzędowy organ jenerał gubernatora warszawskiego w rzeczy samej nie przestrzega, bynajmniej, rezerwy i powagi pismom urzędowym właściwej. Jako redagowany przez ludzi namiętnych, złośliwych i obłudnych, jest on, zapewne wbrew woli i bez wiedzy hr. Szuwałowa i jego pomocnika — pełnym złośliwości i zjadliwości rzecznikiem tej kliki urzędniczej, którą swemu następcy pozostawił w spadku jenerał Hurko. Klika ta spogląda na wszelkie sprawy państwowe zawsze z punktu widzenia interesów osobistych. Najwięcej ze wszystkiego obawia się ona, aby w kraju naszym nie zapanowały stosunki bardziej, niż dotąd normalne, bo to mogłoby pociągnąć za sobą zniesienie przywilejów służbowych „na kresach“, a może i dopuszczenie inteligencyi polskiej do udziału w sprawach rządowych i społecznych, od których jest obecnie najzupełniej odsunięta.

Dla tego to klika ta nie taiła się ze swem niezadowolnieniem z powodu nominacyi hr. Szuwałowa i do dziś dnia rozpuszcza o nim szydercze plotki, aby go po cichu, a pomału zdyskredytować. Z drugiej zaś strony intryguje, oczywiście, i przed samym jenerał-gubernatorem, aby mu przedstawić rzeczy w świetle tendencyi urzędniczej i postawić pomiędzy nim, a społeczeństwem mur, zbudowany z wzajemnych obaw, podejrzeń i niechęci.

Łatwo zrozumieć, jaki popłoch wśród urzędniczego syndykatu wywołała wiadomość o wprowadzeniu w Królestwie reformy miejskiej. Jakąkolwiekby ona była, jakkolwiekby ją zwężano i nakręcano, zawsze jednak pozostaćby musiała zasada samorządu w tem znaczeniu, że organa zarządu miejskiego pochodziłyby z wyborów, a wyborcami byliby obywatele miejscowi.

Byłby to pierwszy krok na drodze dopuszczenia Polaków do udziału w sprawach publicznych, a więc ze stanowiska urzędników bardzo szkodliwy dla nich precedens. Niezależnie od tego, ewentualna reforma miejska dotykała bezpośrednio interesów osobistych wielu jednostek urzędniczych. Prezydenci i burmistrze straciliby swoje posady, otrzymane za błogosławionych czasów gospodarki Hurki, a wobec braku kwalifikacyi, cenzusu tak umysłowego, jak i moralnego, może nie dostaliby się dzisiaj na inne stanowiska. Naczelnicy policyi i żandarmeryi także wolą mieć do czynienia z pojedynczym członkiem urzędniczej koalicyi, aniżeli z jakąś tam radą miejską. W sieci interesów urzędniczych, w którą się dostaliśmy, jedno oczko zaczepia się o drugie, pozwolić na rozprucie jednego, byłoby to narazić trwałość i bezpieczeństwo całości.

Więc urzędnicza intryga na pierwszą wieść o reformie rozpoczęła akcyę celem unicestwienia zamiarów ministeryalnych. Pan Bibikow parokrotnie jeździł do Petersburga, nietylko w interesach kanalizacyi, ale właściwie dlatego, aby zażegnać grożące niebezpieczeństwo, tj. wytłumaczyć w Petersburgu, że samorząd w Warszawie jest niemożliwy.

Z drugiej strony oczywiście starano się wpłynąć na hr. Szuwałowa, aby go przekonać o niebezpieczeństwie zamierzonej reformy. Naruszyłaby ona ten błogi a miły sercu urzędniczemu spokój, jaki panuje dzisiaj: gubernator, policmajster, każdy zresztą urzędnik lub oficer wyższy każe, a prezydent lub burmistrz spełnia natychmiast jego wolę; czyż może być lepsza i prostsza organizacya zarządu miejskiego?

Tymczasem reorganizacya samorządowa pociągnęłaby za sobą kłopoty: Bóg wie, jakie żywioły dostałyby się do rad miejskich. Wysunięto podobno oczywiście na plan pierwszy powody polityczne: ludność miejscowa nie jest jeszcze dość prawomyślna, rady mogłyby się stać ogniskiem agitacyi, a na wypadek wojny byłyby czynnikiem niepewnym i szkodliwym. Dla Warszawy specyalnie wysunięto ten wzgląd, że jest ona fortecą, a przeto względy wojskowe nie pozwalają na samorząd.

Tendencyjność i zła wiara w tych argumentach jest aż nadto widoczna. Rady miejskie podług ustawy z roku 1892 są tak skrępowane, że o żadnem wykroczeniu po za ramy gospodarstwa miejskiego w ścisłem tego słowa znaczeniu mowy być nie może. Jedynym argumentem prawdziwym jest niechęć dzisiejszej administracyi do jakichkolwiek zmian w obecnym nader dla urzędników wygodnym stanie rzeczy.

Jakiegoś szerszego poglądu na rzeczy, jakiejś racyi stanu w dobrem szlachetnem rozumieniu, daremnie byłoby wymagać od urzędniczych karyerowiczów. Można się było tylko spodziewać, że wyższe organa administracyi tych szerszych, poważniejszych względów nie spuszczą z uwagi, że postrachem „intrygi polskiej“ nie pozwolą się obałamucić *intrydze urzędniczej*.

Intryga ta jak w zwierciedle odbijała się, jak najdokładniej w *Warszawskim Dniewniku*. Rozpoczął on kampanię od środka bardzo ordynarnego i kompromitującego, bo od zwyczajnego a mizernego kłamstwa. Wszyscy wiedzieli o tem, że projekt reformy miejskiej został w ministeryum opracowany i, że komisya petersburska nie po co innego przybyła do Warszawy, jak tylko dla zbadania warunków wprowadzenia tej reformy. Tymczasem *Warszawskij Dniewnik* oświadczył raz, a potem jeszcze po raz drugi, że o reformie miejskiej mowy nie ma; że pan Kabat tylko dlatego przybył do Warszawy, iż nigdy nie był w tem mieście, a chciał się zapoznać z jego znakomitą gospodarką.

Śmiesznemu temu oświadczeniu oczywiście nikt nie uwierzył, zwłaszcza że jednocześnie pisma petersburskie potwierdziły poprzednie informacye o celu misyi p. Kabata, a wszystkie nawet pisma, piszące w duchu rządowym, bardzo wprowadzenie reformy zalecały i dowodziły jej potrzeby.

Gdy w *Słowie* ukazał się artykuł, oświadczający się za wprowadzeniem reformy, *Warszawskij Dniewnik* nie wspomniał o nim zupełnie, ale p. Jankulio udzielił surowej nagany cenzorowi, który artykuł ów przepuścił, a wszystkie redakcye zostały zawiadomione, że o reformie miejskiej pisać niewolno.

Tem większa była wściekłość urzędniczych intrygantów, gdy się ukazał artykuł w *Kraju*. *Warszawskij Dniewnik* przytoczył go wprawdzie w całości, ale tylko po to, aby go użyć za temat do podszczuwania. *Kraj* napisał, że po wprowadzeniu reformy znajdą się ludzie, co zechcą i potrafią pracować dla miasta. „To znaczy — woła *Warszawskij Dniewnik* — że dzisiejszy zarząd miasta jest do niczego i działa na szkodę interesów miejskich.“ *Kraj* przytoczył względy, dla których rada miejska jest niezbędną właśnie na wypadek oblężenia *Dniewnik* insynuuje, że jestto obelga dla wyższego zarządu wojskowego, który sam potrafi zabezpieczyć wszystkie ewentualności, a żadnej rady miejskiej nie potrzebuje. W konkluzyi *Dniewnik* oświadcza, że potrzeba zastosowania reformy z roku 1892 w Królestwie jeszcze nie dojrzała, i że dość jest usunąć niektóre formalności, które krępują dzisiejsze magistraty.

W kilku innych wzmiankach usiłował też *Dniewnik* dać do zrozumienia, że cała sprawa reformy miejskiej popierana jest przez intrygę polską.

Tymczasem, jeżeli w całej tej sprawie była intryga, to tylko intryga rosyjska, intryga urzędnicza. Polacy zachowali się zupełnie biernie powiedzmy „zanadto biernie“. Intryga zaś urzędnicza była bardzo czynną i podobno zwyciężyła.

Może to jest jedna z tych plotek, jakie niechętni hr. Szuwałowowi Rosyanie puszczają po Warszawie, ale opowiadają sobie dzisiaj ludzie, że miał on na odjezdnem pożegnać pana Kabata temi słowy: „Zdaj pan raport ministrowi, że ja żadnych rad miejskich nie chcę.“

Nie możemy uwierzyć tej plotce. Hr. Szuwałow, jakkolwiek zaabsorbowany sprawami wojskowemi, jest wszakże człowiekiem dość przenikliwym, aby się pozwolił prowadzić i tumanić klice intrygantów. Rozumie on dobrze, jak wdzięczne zadanie ma tutaj do spełnienia oświecony mąż stanu o głębszym na rzeczy poglądzie. Nie cofnie się też z pewnością przed trudem i pracą, jakiej zreformowanie gospodarki municypalnej wymagać będzie.

Może nawet uda mu się rozbić zwartą klikę i położyć koniec intrydze urzędniczej.

ŻÓRAWIE.

Pod powyższym tytułem opowiada Henryk Sienkiewicz w *Kuryerze Warszawskim* jak powstały „Szkice Węglem“:

„Tęsknica (nostalgia) toczy przeważnie ludzi, którzy z jakichkolwiek powodów nie mogą wcale powrócić do kraju, niemniej jednak i ci, dla których powrót jest tylko rzeczą woli, doznają czasem jej napadów. Powód może być byle jaki: wschód, lub zachód słońca, który przypomni zorze ojczyste, jakaś nuta obcej pieśni, w której odezwie się rytm swojski, jakaś kępa drzew, przypominająca zdala wioskę rodzinną — wszystko wystarcza! Wówczas ogarnia serce ogromna, nieprzeparta tęsknota i przychodzi nagle poczucie, że się jest, jakby liściem oderwanym od dalekiego a kochanego drzewa. I w takich chwilach, człowiek albo musi wracać, albo, jeśli ma trochę wyobraźni— tworzyć.

Raz — lat temu sporo — przebywałem nad brzegiem oceanu Spokojnego w miejscowości, zwanej Anaheim Landing. Towarzystwo moje stanowiło kilku majtków-rybaków, po większej części Norwegów i Niemczyk, stołujący tychże rybaków. Oni w dzień bywali na morzu, a wieczorem zabawiali się w pokera, w którego, zanim zaczęły grywać modne damy w Europie, grywano już oddawna we wszystkich szynkach amerykańskich. Byłem zupełnie sam i czas schodził mi na wałęsaniu się ze strzelbą po pustym stepie, lub nad brzegiem oceanu. Zwiedzałem osypiska, które tworzyła rzeczka, wchodząca szerokim rozlewem do morza i brodziłem po płytkich jej wodach, przypatrując się nieznanym rybom, skorupiakom i olbrzymim lwom morskim, wygrzewającym się na kilku skałach u ujścia.

Naprzeciw był też mały ostrówek piaszczysty, pełen mew, pelikanów, albatrosów i kulonów — prawdziwa rzeczpospolita ptasia, rojna, gwarna i krzykliwa. Czasem, gdy dzień był spokojny, a toń, wśród ciszy przybierała barwę niemal fiołkową, mieniącą się złotem, siadałem w łódź i wiosłowałem w stronę ostrówka, na którym pelikany, nieprzywykłe do widoku ludzi, spoglądały na mnie raczej ze zdziwieniem, niż z obawą, jakby chciały się pytać: co to za foka, której nie widziałyśmy dotąd? Często z owej wysepki przypatrywałem się zachodom słońca, wprost bajecznym, zmieniającym cały widnokrąg w jedno morze blasków złotych, opalowych i płomienistych, które przechodząc w świetną czerwień, mdlały zwolna, dopóki na ametystowem tle nieba nie zaświecił księżyc i cudna, podzwrotnikowa noc nie objęła nieba i ziemi.

Pusty kraj, nieskończoność morza i nadmiar światła usposobiły mnie trochę mistycznie. Wpadłem w panteizm i miewałem poczucia, że to wszystko, co mnie otacza, jest jakąś jedną wielką duszą, która przejawia się, jako ocean, jako niebo, jako step, lub skrupia się w tak drobne zjawiska życiowe, jak ptactwo, ryby, małże i nadbrzeżne wrzosy. Chwilami myślałem także, że owe wydmy i puste osypiska mogą być zamieszkane przez jakieś istoty niewidzialne, podobne do dawnych greckich faunów nimf lub najad. Nie wierzy się takim rzeczom, gdy bierze się na rozum, ale mimowoli dopuszcza się ich możliwość, gdy się żyje tylko z przyrodą i w zupełnej samotności. Życie zmienia się wówczas, jakby w drzemanie, w którem więcej jest widzeń, niż myśli. Co do mnie uświadamiałem tylko ów niezmierny spokój, który mnie otaczał i czułem, że mi jest w nim dobrze. Czasem rozmyślałem o przyszłych „listach z podróży“, czasem, jako młody chłopiec, o jakiejś „nieznanej“, którą mi kiedyś przyjdzie poznać i pokochać — i w tej foldze umysłu, na tem pustem, świetlistem pomorzu, wśród tych niedopowiedzianych myśli, nieuszwanych pragnień, w pół śnie, w pół-jawie czułem się tak szczęśliwy, jak nigdy przedtem.

Pewnego jednak wieczora zasiedziałem się na ostrówku i wracałem na brzeg już nocą. Niósł mnie sam przypływ i prawie nie potrzebowałem wiosłować. Gdzieindziej przypływy bywają burzliwe, ale w tym kraju wiecznej pogody toń łagodnie zatapia piaski i fala nie tłucze z hukiem o brzeg. Otaczała mnie taka cisza, że o staję od lądu mógłbym był słyszeć rozmowę ludzką. Lecz brzeg był pusty. Słyszałem tylko chrobot wioseł o łódkę i cichy plusk poruszanej niemi wody.

Naraz z góry, doszły mnie jakieś donośne głosy. Podniosłem głowę, ale na ciemnem tle nieba nie mogłem nic dojrzeć. Gdy jednak głosy rozległy się powtórnie wprost nademną, rozpoznałem klangor żórawi.

Całe stado przeleciało widocznie nad moją głową, gdzieś w stronę wyspy Santa Catalina.

Lecz mnie przypomniało się, żem w podobne odgłosy wsłuchiwał się nieraz, gdym dzieckiem jeszcze, za szkolnych czasów, jeździł do domu na wakacye — i nagle porwała mnie ogromna tęsknota. Wróciwszy do mego alkierza, który odnajmowałem w domku Niemca, nie mogłem zasnąć. W myśli przesuwały mi się obrazy kraju: to las sosnowy, to pola szerokie z maćkowemi gruszami na miedzach, to chałupy chłopskie, to wiejskie kościoły, to białe domy w gęstwi sadów. Tęskniłem za podobnym widokiem całą noc. Wyszedłszy nazajutrz, jak zwykle, na osypiska, uczułem, że ten ocean i niebo, i step, i wydmy brzegowe i skały, na których prażą się w słońcu foki — to są rzeczy dla mnie bezwzględnie obce, które tak niemają nic wspólnego ze mną, jak ja z niemi. Wczoraj jeszcze włączałem się w to otoczenie i sądziłem, że tętna moje biją zgodnie z tętnem tej olbrzymiej przyrody, dziś zadawałem sobie pytania, co ja mam tu do roboty i dlaczego nie wracam? Poczucie spokoju i słodyczy życia pierzchło bez śladu. Czas, który dawniej tak cicho i kojąco odmierzały mi przypływy i odpływy morskie, wydał mi się nieznośnie długi.

Zacząłem myśleć o kraju, o tem, co w nim zostało i co zmieniło się z biegiem czasu. Ameryka i podróż przestały mnie całkowicie zajmować, a natomiast w głowie roił mi się coraz gęstszy tłum widzeń, złożonych wyłącznie ze wspomnień. Nie mogłem się od nich oderwać, chociaż nie sprawiły mi one radości. Przeciwnie! było w nich dużo smutku, a nawet i goryczy, wynikająca z porównywania ospałego i bezradnego życia naszej wsi z bujnem życiem amerykańskiem. Ale im bardziej wydawało mi się nasze bezradnem i ospałem, tem więcej opanowywało mi duszę, tem było mi droższe i tem więcej za niem tęskniłem. Przez następne dni widzenia stawały mi w oczach coraz jaśniej, a wreszcie wyobraźnia poczęła je rozwijać, porządkować, oświecać i układać w jeden artystyczny pomysł. Począłem tworzyć sobie swój świat.

W tydzień zaś później, gdy pewnej nocy Norwegowie wyjechali na morze, zasiadłem w swoim alkierze — i z pod pióra wyszły mi następne słowa:

„We wsi Barania głowa, w kancelaryi wójta gminnego, cicho było, jak makiem siał....

I w taki to sposób, za przyczyną żórawi, nad brzegiem oceanu Spokojnego powstały: „Szkice węglem.“ *Henryk Sienkiewicz.*

Sprawy sejmowe.

(*Projekt ustawy łowieckiej*).

Sprawa uchwalenia ustawy łowieckiej, wlokąca się już od lat kilkunastu, doczeka się zapewne ostatecznego załatwienia w ciągu bieżącej sesyi sejmowej. Cztery razy już przedkładano Sejmowi projekt tej ustawy, żadnego jednak nie uchwalono. Pierwszy projekt wniósł Wydział krajowy w r. 1887, drugi wyszedł z inicyatywy rządu w r. 1893, trzeci z inicyatywy sejmowej komisyi administracyjnej, czwarty wyszedł znów od Wydziału krajowego w r. 1894, obecny zaś jest piątym z rzędu. Wydział krajowy oparł się w nim na poprzednich czterech projektach, uporządkował w nim i ujął niejako w jedną całość wszystkie w sprawie łowiectwa od r. 1786 wydawane przepisy i rozporządzenia, usuwając liczne wątpliwości i kwestye, które w tym czasie w drodze rekursów zostały rozstrzygnięte.

Projekt obecny tem różni się zasadniczo od dawnego rządowego projektu ustawy łowieckiej, że podczas, gdy projekt rządowy pomijał zupełnie ingerencyę władz autonomicznych przy wykonywaniu ustawy łowieckiej, Wydział krajowy właśnie w projekcie swoim wprowadza tę ingerencyę, wychodząc z tej zasady, że sprawa łowiecka, jako sprawa kultury, należy do ustawodawstwa krajowego, a zatem także Wydziały powiatowe zarówno z tego tytułu, jak i z tytułu nadzoru nad majątkiem i dobrem gmin powinny mieć zapewniony udział w wykonywaniu tej ustawy.

Wedle obecnego projektu ustawy, przysługuje samodzielne prawo polowania posiadaczowi nieprzerwanej przestrzeni obszaru gruntowego, wynoszącego co najmniej 115 hektarów, tudzież posiadaczom zwierzyńców, to jest przestrzeni gruntowych dowolnych rozmiarów, przeznaczonych do hodowli zwierzyny, a skutecznie i trwale zabezpieczonych przeciw jej wydostaniu się na grunta sąsiednie.

Drogi, koleje żelazne, rzeki, potoki, kanały jakoteż wody stojące i wyspy na wodach, które przerzynają grunta, nie uważają się za przerwy obszaru, jeżeli można się dostać z jednej części kompleksu do drugiej, nie przechodząc przez obcą posiadłość.

Wszelkie inne obszary gruntowe, położone w obrębie gminy i na obszarze dworskim, stanowiącym z tą gminą jedną miejscowość, które nie posiadają warunków samoistnego polowania, stanowią okręg polowania gminnego. Polowanie gminne ma być niepodzielnie wydzierżawione na rzecz posiadaczy gruntów.

Prawo samoistnego polowania przyznaje ustawa obecna każdemu, a zatem także gminom na obszarach stanowiących ich majątek gminny, jeżeli tylko nieprzerwana przestrzeń tego obszaru wynosi najmniej 115 hektarów Dawniejsze zaś projekty prawo to przyznawały tylko gminom, mającym własny statut, tudzież 30tu miastom, rządzącym się ustawą z 13 marca 1889. Wydział krajowy sądzi bowiem, że niewłaściwem byłoby odbierać to prawo innym gminom, skoro ustawa gminna zapewnia im prawo zarządu majątkiem w każdym innym kierunku.

Zwyczajny okres polowania ustanowiono na lat sześć, wszelako pod pewnymi warunkami można go przedłużyć aż do lat 12.

Wydzierżawienie polowań gminnych przekazuje projektowana ustawa zwierzchnościom gminnym, a władzom politycznym zastrzega tylko prawo nadzoru. Gdyby jednak zwierzchność gminna okazała się niezdolną do wykonania tej czynności, w takim razie przyznaje ustawa władzy politycznej prawo wydzierżawienia polowania gminnego w zastępstwie opieszałej lub nieudolnej gminy.

Od dzierżawców polowań gminnych nie wymaga się żadnych kwalifikacyi, wszelako wykonywać to prawo może tylko ten, kto uzyskał kartę myśliwską. Kartę taką powinien mieć jej właściciel przy sobie podczas polowania i okazać ją na żądanie organom bezpieczeństwa. Za roczną kartę opłaca się 5 zł., za trzyletnią 15 zł. Ustawa wylicza szczegółowo wypadki, w których odmówić należy wystawienia karty myśliwskiej.

SEJM.

(*3 posiedzenie z 3 stycznia*).

Posiedzenie dzisiejsze zagaił Marszałek o godzinie 10 minut 30, i zawiadomił izbę, że udzielił kilkunastu posłom krótkich urlopów, już to z powodu choroby, już też z powodu ważnych zajęć. Posłowi Mieczysławowi Reyowi udzieliła Izba urlopu na 14 dni.

Marszałek hr. Stanisław Badeni zawiadomił następnie Izbę, że przed kilku dniami otrzymał z Wieliczki depeszę, noszącą podpis jednego z tamtejszych wyborców, a donoszącą, że równocześnie z ową depeszą, odchodzi pocztą protest przeciw wyborowi posła Czecza. Wobec tego uważał marszałek wybór tego posła jako zakwestyonowany. Dziś jednak otrzymał Marszałek od owego wyborcy z Wieliczki pismo, w którem on oświadcza, że żadnej depeszy nie wysyłał, że zatem owa, którą Marszałek otrzymał, jest sfałszowana. Wobec tego wybór p. Czecza uważać należy, jako niezakwestyonowany i będzie on sprawdzony na jednem z najbliższych posiedzeń Zaraz m zarządzi Marszałek dochodzenie celem wykrycia sprawcy tego fałszerstwa.

Odczytano odezwę sądu powiatowego w Myślenicach, proszącą o zezwolenie na sądowe ściganie posła Średniawskiego za obrazę władzy. (§ 481 u. k.)

P. Średniawski oświadcza, że sam nie wie, jak nazwać to żądanie sądu myślenickiego i prosi, aby zezwolono na jego ściganie.

Odezwę sądu myślenickiego odesłano do komisyi prawniczej.

Odczytano następnie spis petycyi. P. Barwiński popierał petycyę gminy Załoziec o utworzenie starostwa w tem mieście.

P. **W a r z e c h a** i tow. interpelują komisarza rządowego, co się dzieje z wnioskiem posła Kramarczyka w sprawie wydawania paszportów bydlęcych w pasie pogranicznym; — p. **D a t a** interpeluje w sprawie kar nakładnych za przekroczenie ustawy o paszportach bydlęcych.

P. **W ó j c i k** interpeluje komisarza rządowego w sprawie wrzekomo nieprawnego zasądzenia włościanina Stefka na 5 dni aresztu przez starostwo w Brzozowie i w sprawie trudności jakie robi to starostwo wychodźcom przy wydawaniu paszportów.

Dr. **B e r n a d z i k o w s k i** i **D w o r s k i** zapytują, czy wiadomo rządowi, że starosta w Gorlicach p. Gubatta wzywa wyborców podpisanych na proteście przeciw wyborowi p. Adama Skrzyńskiego, ażeby cofnęli swe podpisy i jak się da pogodzić takie postępowanie z obowiązkiem bezstronności ciążącym na władzy politycznej.

Z kolei odczytano wniosek p. **W a c h n i a n i n a**, żądający wybrania komisyi z 15 członków złożonej celem wszechstronnego zbadania faktycznych przyczyn tłumnej emigracyi włościan, obmyślenia środków do usunięcia tych przyczyn, powstrzymania lekkomyślnej emigracyi i otoczenia prawną opieką emigrantów tak podczas podróży, jak i w Ameryce.

Ten sam poseł interpeluje w sprawie niewłaściwego zachowania się organów policyjnych w Tarnopolu wobec przejeżdżających emigrantów.

P. **K r e m p a** interpeluje w sprawie niewłaściwości popełnianych przy doręczaniu upomnień egzekucyjnych, — pos. **O s t a p c z u k** w sprawie emigracyi ludu, a w szczególności, jak Wydział krajowy zapatruje się na działalność towarzystwa św. Rafała i co zamierzają władze autonomiczne uczynić dla zapobieżenia wychodźtwu ludu wiejskiego; p. **O k u n i e w s k i** w sprawie śledztwa, wytoczonego przez starostwo stryjskie włościanom, którzy brali udział w deputacyi do Cesarza.

P. **F r u c h t m a n** ponowił swój dawny wniosek, aby obowiązek miast i miasteczek do poniesienia wydatków na utrzymanie szkół był ściśle określony.

Z porządku dziennego uznano za ważne wybory posłów z kuryi gmin wiejskich okręgu bobreckiego, bohorodczańskiego, brzeżańskiego, krakowskiego, limanowskiego, nowotarskiego, wadowickiego, zbaraskiego, tudzież kuryi większych posiadłości okręgu krakowskiego i z okręgu miejskiego drohobyckiego.

Posłowie, których wybory uznano za ważne, złożyli ślubowanie w ręce marszałka hr. Badeniego.

Następnie udzielono koncesyi do poboru opłat mytniczych:

Obszarowi dworskiemu w Nawojowej od mostu na rzece Kamienicy pod Nawojową w Łęgu, tudzież pozwolono na pobór tych opłat na drodze pow. Zborowicko-Grybowskiej, na drodze powiatowej z Grybowa do Krzyżówki i od mostu na rzece Białej między Wojnarową a Wilczyskami w powiecie Grybowskim; od mostu na rzece Mleczce pomiędzy Przeworskiem a Grodziskiem i Leżajskiem w powiecie Łańcuckim; na drodze powiatowej Hodyńsko-Samborskiej w powiecie Mościskim na drogach powiatowych: Mielec-Radomyśl i Radomyśl-Lisia Góra tudzież od przewozu przez rzekę Rabę w Cikowicach.

Wreszcie pozwolono na pobór tych opłat: Radzie powiatowej na drodze powiatowej Buczacz-Potok złoty; Radzie powiatowej w Rudkach od mostu powiatowego na jeziorze w Błożwi dolnej; Radzie powiatowej w Limanowej na drodze powiatowej Kamieniecko-Stopnickiej; Radzie powiatowej w Trembowli na drodze powiatowej Trembowla-Iławcze-Skałat; Radzie powiatowej w Nadwórnej od mostu powiatowego na rzece Prucie.

Sprawozdanie Wydziału krajowego co do przyznania Janowi Czupielowi b. drożnikowi drogi krajowej Przemyśl-Sanok zaopatrzenia w drodze łaski, odesłano do komisyi budżetowej, zaś sprawozdanie, co do wyłączenia osad Pawłowa, Krzywe i Capłapy w pow. Jarosławskim ze związku gminy Majdan i utworzenia z nich samoistnej gminy do komisyi administracyjnej.

Z kolei p. Stanisław **S t a d n i c k i** w długim wywodzie motywował swój wniosek, aby wezwano rząd, iżby przy obmyślaniu nowych źródeł dochodów państwowych nie brał w rachubę podwyższenia podatku spirytusowego.

Mówca dowodził, że wszelkie podwyższenie obecnego podatku spirytusowego musi bardzo niekorzystnie oddziałać na przemysł gorzelniany i wyrządzi wielkie szkody rolnictwu, które i tak znajduje się w bardzo trudnem położeniu.

Wniosek p. Stadnickiego odesłano do komisyi podatkowej.

Następnie p. **M e r u n o w i c z** uzasadniał wniosek o polecenie Wydziałowi krajowemu, aby starał się zachęcać reprezentacye powiatowe do zajmowania się ekonomicznemi sprawami swych powiatów w duchu postanowień § 21 ustawy o reprezentacyi powiatowej i aby jak najgorliwiej popierał działalność reprezentacyi w tym kierunku.

Mówca zaznaczył, że zbyteczne scentralizowanie działalności w sprawach ekonomicznych nie doprowadza do pożądanych rezultatów, należy przeto ją zdecentralizować.

Jakkolwiek niektóre reprezentacye zajmują się bardzo szczerze sprawami ekonomicznemi, wszelako brak systemu i planu stoi na przeszkodzie wydatniejszemu rozwinięciu działalności w tym kierunku. A jednak ożywienie tej działalności byłoby bardzo pożyteczne. Reprezentacye powiatowe mogłyby w ten sposób bardziej popierać interesa rolnictwa, przemysłu i racyonalnych urządzeń handlowych, mogłyby odjąć szerzącemu się ruchowi emigracyjnemu społecznie szkodliwe cechy, mogłyby zapobiedz sztucznemu obniżaniu ceny ziemi przez spekulantów itp.

Wniosek p. Merunowicza odesłano do komisyi gminnej.

Na tem wyczerpano porządek dzienny.

Odczytano jeszcze wniosek p. Wojcika o polecenie Wydziałowi krajowemu, żeby opracowano plany i kosztorysy obwałowania lewego brzegu Wisły w powiecie krakowskim tak, żeby roboty mogły się rozpocząć na wiosnę roku 1896.

O godzinie 12 minut 40 zamknął Marszałek posiedzenie i naznaczył następne na jutro na godzinę 11 rano.

KRONIKA.

Lwów 3 stycznia.

Mianowania. P. minister skarbu zamianował Franciszka Włodarczuka inspektorem budowli salinarnych i maszyn przy krajowej Dyrekcyi skarbowej we Lwowie, Władysława Słuszkiewicza i Władysława Ząbeckiego starszymi inspektorami dla utrzymania ewidencyi katastru gruntowego w VII klasie rangi inspektorów, zaś Marcelego Peszkowskiego, Józefa Wusatowskiego i Władysława Za-

klińskiego starszymi geometrami pierwszej klasy w VIII klasie rangi starszych geometrów II klasy.

Deputacya ruska z powiatu stryjskiego, która jak to już donosiliśmy, pod przewodnictwem Karola hr. Dzieduszyckiego przybyła do Lwowa, aby złożyć JE. ks. kardynałowi Sembratowiczowi i JE. namiestnikowi ks. E. Sanguszce oświadczenie, iż gminy wiejskie powiatu stryjskiego nie solidaryzują się z historyczną deputacyą ruską wysłaną do Wiednia. Deputacya była wczoraj u J. E. ks. kardynała, do którego przemówił K. hr. Dzieduszycki, prezes Rady powiatowej i poseł na Sejm z mniejszej posiadłości, składając wyrazy głębokiego hołdu. Następnie deputacya udała się do JE. marszałka krajowego St hr. Badeniego i do JE. ks. namiestnika, którego wszakże nie zastała, gdyż na dni kilka wyjechał do Gumnisk. Przewodniczący deputacyi udał się więc do p. wiceprezydenta Lidla, który zapewnił, że o bytności deputacyi zawiadomi J. E. ks. namiestnika.

Deputacya gmin wiejskich powiatu stryjskiego, protestująca przeciw tłumnej ekspedycyi do Wiednia, podjętej pod przewodem pp. Luegera i Romańczuka, jest ciekawą ilustracyą prawdziwości twierdzenia tych panów, że deputacya wiedeńska była reprezentacyą całego narodu ruskiego.

Pogadanki czwartkowe w Czytelni katolickiej umieją pod swą skromną i bezpretensyonalną nazwą [illegible] wybory tematów, podawać [illegible] w łatwy i przystępny sposób pokarm zdrowy i kształcący. Wczorajsza pogadanka o „ziemi szląskiej" jak niemniej cały szereg poprzednich, stwierdzają, że społeczeństwo nasze żywo interesuje się Szląskiem i [illegible] sprawami naszego narodu.

P. Królikowski były redaktor *Gwiazdki cieszyńskiej* i *Nowin raciborskich* z zawodu pedagog, który [illegible] ludu szląskiego i wielkopolskiego, zetknął się z nim [illegible], wygłosił w swej pogadance obraz [illegible] Szląska pod względem religijnym i narodowościowym. Stosunki kresowe obrał sobie prelegent za przedmiot studyów sumiennych, poświęcając im kilkanaście lat życia. Rezultat jego badań oparty na znajomości stosunków kresowych Szląska, Wielkopolski i Pomorza polskiego. Dla dokładniejszego ich zrozumienia studyował prelegent stosunki narodowościowe na Morawie, Łużycy, na Węgrzech, był w Lublanie, Zagrzebiu i Dubrowniku. Doświadczenia, które tym sposobem zebrał, stara się ująć w pewien system.

P. Królikowski stoi na stanowisku teoryi rasowości, wierny w miarę poszczególnych narodów, ale przekonań tych nie opiera na mesyanizmie, [illegible], ale na całym szeregu faktów i zjawisk, na które patrzał.

Według jego zdania intenzywność i rozmiar duchowy walki na kresach zachodnich nie daje się wytłómaczyć interesem danego narodu, ale interesem całej ludzkości. Prelegent rozróżnia cywilizacyę moralną i cywilizacyę umysłową. Owóż, według jego zdania ta wyższość cywilizacyi moralnej zapewnia nam zwycięstwo w walce, którą wiedziemy na kresach [illegible].

W walce tej głuchej, prowadzonej z żelazną konsekwencyą, lud szląski — mimo braku poparcia ze strony inteligencyi tamtejszej, która z małymi wyjątkami wynaradawia się — [illegible] zwycięsko, trzymając się wiary swych przodków i nie ulegając apostołom międzynarodowego socyalizmu, [illegible].

Prelegent opisał zwyczaje i obyczaje tego ludu, jego udział w życiu publicznem, przedstawił obrazowo zgromadzenia publiczne na Szląsku, dając także sylwetki wybitnych jednostek, jak posła Michejdy, pp. Stary, Raczka i zasłużonego około „Macierzy szkolnej" ks. Świeżego.

W dyskusyi, która się przeciągnęła do późna, wzięli udział pp. prof. Thullie, Dembiński i inni.

Ze sfer teatralnych. Zdolny wielce, młody artysta p. Jan Klein, uczeń doskonałej nauczycielki panny Stróżeckiej, zaangażowanym został do trupy p. Myszkowskiego, a pod dzielną jego ręką wyjdzie niezawodnie rychło na wytrawnego artystę.

Mróz zwolnił. Dziś o godz. 7 rano mieliśmy już tylko — 7 stopni R. Natomiast w Krakowie było wczoraj według *Czasu* — 20 stopni R., a według *Nowej Reformy* (ona zawsze musi wszystko gorszej widzieć) aż — 22 stopnie R.

Akademicki wieczór z tańcami. Młodzież akademicka urządza w tym karnawale jeden tylko, jedyny wieczór z tańcami i to na dochód Towarzystwa „Bratniej pomocy słuch. wszechnicy" we Lwowie, który odbędzie się w dniu 18 stycznia b. r. w sali Kasyna miejskiego. W komitecie pań pod przewodnictwem p. profesorowej Aleksandrowej Janowiczowej przyjęły godność gospodyń panie: mecenasowa Bałabanowa, prof. Dembińska, Alfredowa Dzikowska, prof. Głąbińska, hofratowa Hildowa, doktorowa Karnerowska, profesorowa Librewska, radczyni Różycka adwokatowa Tabaczyńska, doktorowa Tarasiewiczowa i Rypsyna Zacharyasiewiczowa. Nadto zajmuje się gorąco sprawami wieczoru [illegible] komitet męski z profesorami univ. drem Ludwikiem Ćwiklińskim, Bronisławem Dembińskim, Stanisławem Głąbińskim i Stanisławem Starzyńskim na czele.

Przysłowie w przekładzie. Znane przysłowie francuskie: *La femme c'est une ombre — si tu la suis, elle te fuit, si tu la fuis, elle te suit!* (Kobieta jest cieniem — jeżeli gonisz za nią, to ona od ciebie ucieka a jeżeli uciekasz od niej, to ona goni za tobą), przetłómaczył tak doskonale malujące charakter kobiet, [illegible] p. Kazimierz Zalewski w [illegible]:

Kredyt jak piękna kobieta: —
Uparty przy niej czas trwoni,
Gdy za nią gonisz — ucieka,
Gdy przed nią uciekasz — goni.

Związek prasy zagranicznej w Wiedniu. Na rocznem zebraniu, odbytem dnia 27 grudnia, zostali do kierującego wydziału Związku wybrani członkami: Alfred Szczepański, dr. Horowitz i dr Hayek.

Zakład ubezpieczeń robotników od wypadków dla Galicyi i Bukowiny we Lwowie powierzył czynności lekarza delegata Zakładu, przewidziane w § 23 ustawy o ubezpieczeniu robotników od wypadków p. Stanisławi Krechowieckiemu.

Specyaliści. W nocy włamało się kilku amatorów cudzej własności do sklepu p. Marcina Müllera przy ul Halickiej. Złodzieje wybili szybę sklepową od podwórza i wdarli się do magazynu, a następnie do sklepu, gdzie znajdował się główny przedmiot ich pożądliwości: kasa wertheimowska. Do niej więc się wzięli specyaliści. Kiedy jednak po dłuższym i bardzo mozolnym ataku rzezimieszków, system wertheimowski oparł się zwycięsko, złodzieje zabrali sobie po kilkanaście sztuk kaloszy, [illegible]rymskich, skarpetek itp. Jak wybredni być [illegible] świadczy o tem kilkadziesiąt par rozrzuconych na ladzie sklepowej rękawiczek, które ci panowie „próbowali" do ręki. Wizyta musiała trwać dość długo, bo na podłodze znaleziono piętnaście wypalonych papierosów.

Złodzieje lwowscy zaczynają się specyalizować w kierunku kas wertheimowskich. Zwracamy na to uwagę Dyrekcyi policyi, która może uwzględni w swych poszukiwaniach to, że ci rycerze przemysłu muszą posiadać pewną zręczność w ślusarce, skoro się do zamków tak kunsztownych zabierają.

Samobójstwo. Wczoraj o godzinie 7 wieczór otruł się w mieszkaniu swem przy ul. Łyczakowskiej porucznik Neubauer. Zwłoki samobójcy odstawiono do szpitala wojskowego.

Co to jest handel? (Legenda wschodnia.) Hassan sprzedawał daktyle na ulicach Damaszku, a raczej ich nie sprzedawał, bo daktyle jego były tak małe, że nikt ich kupować nie chciał.

Z bólem serca widział Hassan, że wszyscy kupowali daktyle u jego współzawodnika, bogatego Uleda, który miał kramik tuż obok na plecionce ze słomy. Albowiem na słomiankach targowano jeszcze wówczas w Damaszku, stropem zaś namiotu było niebo. Otóż Uled miał szczęście: był posiadaczem ogrodu z glebą tak urodzajną, iż rosły w niej daktyle, trzy razy większe niż gdzieindziej.

Pewnego dnia przybył do Damaszku derwisz bardzo uczony i bardzo głodny.

— Daj mi co do zjedzenia — rzekł Hassanowi — a uczynię dla ciebie to, czego żaden kalif nie byłby w stanie uczynić. Zmuszę lud do kupowania twoich daktyli, bo będą one trzy razy większe, niż daktyle Uleda.

— Niestety, derwiszu — odpowiedział Hassan z westchnieniem — całuję twoje stopy, ale niebardzo wierzę w spełnienie obietnicy. Daktyle Uleda są trzy razy większe, niż zwyczajne. Ale pomimo to wejdź w progi moje i zasiądź sobie na słomiance. Skrzyżuj sobie nogi wygodnie, bądź pozdrowiony i opowiedz mi, jeśli wola twoja i łaska, w jaki sposób powiększyć daktyle i zniewolić lud do ich nabywania.

A w duchu myślał sobie Hassan: „Miałbyś, o derwiszu co jeść, gdybyś był tak mądry, za jakiego chcesz uchodzić." Ale nie powiedział tego głośno, jeno podał mu, co miał do zjedzenia, mianowicie kawał skóry z cielęcia, które kupił przed miesiącem. Mięso i kości zjadł już dawno.

A gdy derwisz nasycił żądzę swego głodu, rzekł:

— O, Hassanie, jakiej wielkości chcesz mieć daktyle?

— Niech ci Allah da moc żon i moc dobytku — rzekł Hassan — chcę, aby daktyle moje były trzy razy większe od tych, które przy najlepszych twoich chęciach stworzyć zdołasz.

— Bardzo dobrze. Widzisz tego oto tu ptaka? Przyniosłem go z sobą z Indyi, gdym świętą odbywał wędrówkę. Powiedzmy, że daktyle twoje są większe, niż trzy największe daktyle razem wzięte.

— Niech ci Allah da pałac kalifa i setkę wielbłądów! Ale powiedz, na co mi się przyda, jeżeli to powiem ptakowi?

— Czyń, co mówię — przerwał mu derwisz — a nie staraj się rozumieć, czego nie rozumiesz.

Hassan pokłonił się trzykrotnie ptakowi i zwrócił do niego mowę Przedewszystkiem życzył, aby mu Allah dał pióra tęczowe, potem nazwał go *Rokiem* (olbrzymi ptak mitologiczny). Ptak dumny był wielce z takiego powitania, albowiem nie był podobny do *Roka*, ale do pospolitego kruka, derwisz zaś nabył go od kupców z Sumatry, jako ptaka, dobrze obracającego językiem w dziobie.

— O, ptaku, o *Roku!* — mówił Hassan dalej — moje daktyle są trzy razy większe, niż trzy największe daktyle razem!

— Teraz — rzekł derwisz—czekaj i chwal Allaha.

Hassan czekał cierpliwie, od czasu do czasu przypominał ptakowi, iż daktyle jego są takiej a takiej wielkości.

Niebawem też ujrzał rezultat swoich zabiegów. Ptak bowiem usiadł na poblizkiem drzewie oliwkowem i krzyczeć zaczął:

— Allah! Allah! Daktyle Hassana są trzy razy większe, niż trzy największe daktyle razem wzięte!

Ptak miał głos skrzeczący, ale donośny. Ogłuszył też wszystkich w pobliżu stojących. Krzyczał przez godzinę, przez dwie, przez trzy, aż wreszcie ludzie zaczęli zwracać głowy w stronę daktyli Hassana. Ptak zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. Jeden i drugi przypatrzył się daktylom Hassana i rzekł:

— Zaprawdę, rzecz osobliwa! Czy widzicie, że daktyle Hassana są ogromne?

Na drugi dzień ludzie mówili:

— Patrzcie! patrzcie! Daktyle Hassana są jeszcze większe!

Ptak krzyczał ciągle swoje. Trzeciego dnia cały lud stał przed słomianką Hassana i kupował daktyle masami. Znawcy zaś towaru, potrząsając głowami, mówili:

— Daktyle Hassana są trzy razy większe niż trzy największe daktyle razem wzięte.

Ptak krzyczał ciągle swoje.

Uled zzieleniał ze złości. Hassan zbierał kiesy złota, nabywał stada wielbłądów i sprawił sobie żon ze trzy tuziny. Potem zbudował daszek nad swoją słomianką i osadził na nim ptaka, który ciągle krzyczał swoje.

W chwilach wolnych wielbił Hassan Allaha i obdarzał podarunkami derwisza.

Wszyscy już teraz uważali daktyle Hassana za największe, wszyscy je przepłacali, kupowali i jedli. Jeden Hassan wiedział tylko, co się święci, gdy kupował swoje daktyle u... Uleda, który teraz z bogatego poprzednio kupca, stał się dostawcą daktyli do kramiku Hassana.

Oto, co to jest handel...

Pożary kominowe. Mieliśmy w ostatnich dniach sporo pożarów kominowych — jak zresztą każdego roku w zimie — i nie zwracalibyśmy na to uwagi, gdyby nie to, że tymi dniami były dwa takie pożary kominowe w gmachach publicznych, mianowicie w gmachu Zakładu narodowego im. Ossolińskich i w gmachu sejmowym. Można się godzić z myślą, że spekulant, budujący dom czynszowy, położy belki tak niedbale, że się do nich może dostać ogień z komina; ale trudno przystać na to, żeby w gmachach publicznych — w których przechowywane są wielkiej wartości dokumenta, cenne zbiory starożytności, lub nieocenione arcydzieła, jak utwory pendzla matejkowskiego — mogły się dziać podobne techniczne zaniedbania, iżby końce belek dostawały się do kominów. Osoby, stojące na czele wymienionych instytucyi, powinny zarządzić surowe dochodzenie, aby się coś podobnego nie powtórzyło.

Panu Romańczukowi po wrześniowym krachu wyborczym uśmiechnęło się, jak zapewnia *Dziennik Polski* blade zimowe słońce, jakby w nagrodę za doznane zawody i rozczarowania. Działo się to onegdaj na przedstawieniu ruskiej trupy dramatycznej. Grano jedną z tych sztuk, w których liczba odtańczonych kozaków i hołubców rywalizuje zwycięsko z szeregiem scen o sentymentalno-tragicznym nastroju, charakteryzującym całą niemal ruską literaturę teatralną. Wśród dość licznie zebranej publiczności znajdował się także p. Romańczuk. Obecność byłego inicyatora „upaństwowienia Rusinów", a od czterech lat błędnego rycerza opozycyjnej polityki ruskiej podziałała elektryzująco na audytoryum. Lornetki dam i płomienne spojrzenia mężczyzn kierowały się raz po raz ku krzesełku, na którem były poseł kałuski ulokował swoją cielesną powłokę. Przez cztery odsłony i cztery „pauzy" trwał ten niemy zachwyt, illustrowany tajemniczym szmerem rozmów: w którym mieściły się wszystkie odcienia uczuć, od pełnego czci uznania do kompletnego kultu i uwielbienia. Przed aktem piątym dopiero dostała się p. Romańczukowi niespodzianka pod postacią najformalniejszej manifestacyjnej owacyi.

Z grona publiczności wstał nagle pewien ksiądz ruski i wskazując na wspomniane wyżej krzesełko, wypowiedział gorącą mowę, w której podniósł „konsekwentną" działalność patryotyczną p. Romańczuka i odwoławszy się do wszystkich reprezentowanych w sali stronnictw ruskich, wezwał je, ażeby solidarnie wyraziły wotum zaufania najnowszej fazie jego polityki. Wezwanie padło na grunt podatny. W sali rozległy się grzmiące oklaski, mężczyźni i kobiety powstali z miejsc wśród frenetycznych okrzyków „sławno!" — p. Romańczuk „wzruszony do głębi" dziękował skinieniem ręki i ukłonami, a cały teatr zamienił się w burzliwą symfonię czci dla „konsekwentnego" polityka. Potem.... odezwał się dzwonek za kulisami i grano dalej komedyę.

Licytacya nielada. Dzienniki amerykańskie ogłaszają olbrzymią licytacyę, możliwą chyba tylko w Ameryce, w tym kraju milionowych ryzykownych przedsiębiorstw. Odbędzie się ona w mieście Topeka, stanu Kansas. Cały majątek towarzystwa kolejowego Atchinson, Topeka, Santa-Fé, które przed kilkoma miesiącami ogłosiło swoją upadłość, pójdzie pod młotek, a majątek ten składa się ni mniej, ni więcej, jak tylko z 4 582 mil ang. podwójnego toru kolejowego, 834 lokomotyw, 27,059 wagonów towarowych, 596 wagonów pasażerskich, oraz mnóstwa składów i budynków stacyjnych. Dotychczas na kolei tej, znajdującej się w rękach sekwestratora, pracuje 20 000 urzędników.

Ładna licytacya, co?

Skarcony pejczem. Amerykańskie dzienniki donoszą, że temi dniami w mieście Wooster, w stanie Ohio, dwie panny i jedna mężatka, spotkawszy na ulicy pana Wiliama Grossmana, skarciły go pejczem za to, że pozwalał sobie od pewnego czasu rozgłaszać o nich ubliżające im plotki.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 7° R., w poł. — 3° R. Bar. 766. Spada. Pochmurno.

Z niezrównanych fraszek Rodocia.

Płyną wody potoku i godziny płyną...
Dawniej szło się przez życie z mieczem, dziś—z drabiną.

Dobra myśl.

Im więcej miłosierdzia w pałacach bogaczy,
tem mniej zbrodni pod dachem nędzarzy.

Teatr. Dziś w piątek „Andrea", komedya w 5 aktach W. Sardou. Jutro w sobotę „Don Carlos", tragedya w 5 aktach Szyllera. Ceny miejsc popołudniowe.

Pani Judic w przejeździe przez Lwów wystąpi raz tylko jeden na tutejszej scenie w piątek dnia 10 b. m.

Literatura i Sztuka.

* **Koncert** muzyki wojskowej 30 pułku piechoty pod kierownictwem kapelmistrza K. Rolla odbędzie się w niedzielę dnia 5 stycznia o godzinie ½5 po południu w sali „Sokoła". Oto program: 1) Roll: Polonez „Powitanie karnawału". 2) Mozart: Uwertura do opery „Don Juan". 3) Alard: Fantazya z opery „Trubadur" (skrzypce solo). 4) Zeller: Grubenlichter — walc z operetki „Sztygar". 5) Wagner Rich.: Chór pielgrzymów i pieśń do gwiazdy wieczornej z opery „Tannhäuser" (Cello solo). 6) Geistlener Babeta: „Reminiscences" potpourri. 7) Dierig: „Na warcie" pieśń (solo na trąbce). 8) Jarecki: Mazur z opery „Barbara Radziwiłłówna".

* **Nowe kompozycye** wyszły w zbiorze zatytułowanym „Pieśni i piosnki", nakładem księgarni pp. Jakubowskiego i Zadurowicza. Są-to prace wyłącznie polskich kompozytorów, a okoliczność ta budzi dla wydawnictwa żywe zajęcie.

Zbiór rozpoczynają kompozycye W. Żeleńskiego. W większej połowie dramatyczna niż liryczna pieśń pierwsza: „Gdy ostatnia róża zwiędła" zwraca uwagę deklamacyą. Wiele zalet posiada i pieśń druga: „Zaczarowana królewna". — Pieśń Orlandiego z opery „Konrad Wallenrod" należała do najefektowniejszych i najbardziej popularnych ustępów opery. Nastrój rycersko feudalny wiernie oddany stawia ją o wiele wyżej niż następną „balladę Klawiga" nieco bledszą w tonie.

Z. Noskowskiego krakowiak: „Na Wawel" nie zbyt nam się podobał; w dobrem wykonaniu zdoła wiele zyskać ta kompozycya.

Stan. Niewiadomski umieścił w tym zbiorze „Piosnkę z ogródka". Uderza nas w niej szerokie założenie planu modulacyi, mimo wszystko zręcznie wracającej do tonu pierwotnego. Wdzięczne zwroty melodyi, deklamacya sprytna i kokieteryjna; oto dalsze cechy tej kompozycyi, równie pięknej, jak inne pieśni Niewiadomskiego.

Poważny nastrój zaleca pieśń P. Maszyńskiego: „A jeśli", nadająca się do wykonania na wieczorkach i obchodach uroczystych.

Akompaniament „Telegrafu" Jana Kleczyńskiego utrudnia w wysokim stopniu wykonanie i pojęcie tej kompozycyi.

Łatwy akompaniament natomiast posiada kompozycya Wł. Wszelaczyńskiego „Czemu?" Obok tej zewnętrznej zalety pieśń ta posiada inne, istotniejsze, a do nich należy przedewszystkiem szczerość nastroju, prawda wyrazu, deklamacya pełna szlachetnego patosu.

Łatwy akompaniament posiada również H. Jareckiego „Smutna wieść". Tekst jej jest parafrazą znanej pieśni Radwana pt. „Kruk". Muzykę Jareckiego cechują zwroty proste i jędrne, tudzież smutek wielki i poważny.

Trzy pieśni Jana Galla: „Wracaj", „Zima" i „Serenada" nie odstępują na włos od zasady kompozytora: by pierwsza z trójki (najczęściej w świat przez autora puszczanej) była najlepsza, ostatnia najwdzięczniejsza, a środkowa najsłabsza, by szła tylko pod osłoną dwu szczęśliwszych siostrzyc. Tym sposobem wspomniawszy o pieśniach Galla, zarazem je oceniliśmy.

S. Berson, którego kompozycye fortepianowe znamy, jako utwory udatne i efektowne, ustroił swą „pieśń starofrancuską" w szatę — zdaniem naszem — niezbyt, ani starofrancuską, ani nawet w ogóle francuską. Możnaby rzec, że ją spolszczył dla użytku naszych śpiewaczek i śpiewaków, przez co zjedna sobie ich wdzięczność, gdyż pieśń ta przy lekkiem wykonaniu podobać się będzie.

M. Biernacki, który zdobył pierwszą nagrodę na konkursie *Echa* w Warszawie, dał do zbioru tego „Dumkę" pełną nastroju, ładnie deklamowaną, z akompaniamentem nieco za trudnym.

Oprócz tych pieśni przysłano nam do oceny F. Kolessy: „Na szczedryj weczer" na chór męski a capella i wiązankę chórów mięszanych („Wułycia" nyzka piseń lubowych diwoczych i paruboczych). Chór męski obraca się w nieco za ciasnem kole modulacyi, ztąd też przy niedość starannem wykonaniu, nieuwzględniającem dokładnie znaków dynamicznych, mógłby wyjść monotonnie. Wiązanka chórów mięszanych natomiast przykuwa do siebie uwagę zarówno znawcy jak miłośnika muzyki ludowej. Wszystko tam bardzo dobre, i harmonje nie banalne i inwencyi, która wynajduje najodpowiedniejsze formy, jest wiele. Autor umiłował pieśń ludową, a posiadając wprawną rękę, ustroił ją, jako przedmiot swej miłości, w odświętne szaty. *M. Sołtys.*

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 3 stycznia. Sejm dolno-austryacki obradował wczoraj nad projektem Wydziału krajowego, ażeby dodatki na fundusz weterynarski podwyższono o 200%. Referent komisyi sejmowej dr. Richter wniósł jedynie o podwyższenie tych dodatków o 100%. Po długiej debacie zgodzono się na wniosek komisyi, t. j. na podwyższenie tego dodatku o 100%.

Peszt 3 stycznia. Ministrowie Banffy i Lukacs odjechali do Wiednia

Wiedeń 3 stycznia. Przybyli tu dziś węgierscy ministrowie Banffy i Lukacs, jak mówią, celem rozpoczęcia rokowań o odnowienie ugody.

Insbruk 3 stycznia. Sejm tyrolski otwarto wczoraj.

Konstantynopol 3 stycznia. Porta zgodziła się na pośrednictwo mocarstw celem skłonienia powstańców ormiańskich w Zajtunie do poddania się.

Praga 3 stycznia. Umarł profesor geografii na tutejszym niemieckim uniwersytecie dr. Dyonizy Grün.

Londyn 3 stycznia. Dyrektorowie kompanii „Chartered" telegraficznie polecili swemu pełnomocnikowi w Kaplandzie, ażeby zawiadomił Jamesona o tem, iż kompania potępia jego wyprawę do Transwaalu i rozkazuje mu bezzwłocznie wrócić na terytoryum kompanii. Gubernator Kaplandu Robinson odjechał do stolicy Transwaalu Pretoryi, celem pokojowego załatwienia konfliktu.

Londyn 3 stycznia. Do ministeryum kolonii nadeszła depesza, że Boerowie transwaalscy stoczyli koło Johannesburga bitwę z bandą Jamesona i pobili ją na głowę. Jameson z niedobitkami swego oddziału poddał się na łaskę i niełaskę. Minister Chamberlain udał się telegraficznie do rządu w Pretoryi z prośbą, aby wspaniałomyślnie obchodzono się z jeńcami i rannymi.

Pretorya 3 stycznia. Jameson posunął się naprzód w kraj Boerów pomimo, że zawczasu jeszcze otrzymał rozkaz do cofnięcia się. Boerowie wyparli go z kilku stanowisk i wzięli do niewoli 23 rannych między nimi 3 oficerów, a spalili pięć trupów nieprzyjacielskich.

Obiega pogłoska, że także Jamesona spalili Boerowie.

Pretorya 3 stycznia. Kompania angielska „Chartered" mobilizuje swe siły zbrojne, aby wpaść do Transwaalu. Wodzowie plemion Kafrów znajdują się już w Transwaalu i ofiarują mu swoją pomoc, także wolne państwo Orania przygotowuje się do niesienia pomocy Transwaalowi. Kolej z Krügersdorfu do Johannesburga zburzono.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 2 stycznia. F. hr. Bobrowska z Andrychowa. Z. Zdziechowska z Podola ros. A. Gorayski z Moderówki. A. książ Puzyna z Litwy. J. książ Puzyna z Narola. Z. hr. Tarnowski z Dzikowa. A Cielecki z Porchowy. E. Torosiewicz z Brodek. K. hr. Dzieduszycki z Siechowa. A. hr. Skrzyński z Zagórzan. St. hr. Zamoyski z Wysocka. D. Słonecki z Jurowiec. L. Horodyski z Tłusteńkiego. L. Katz z Czerniowiec.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 3 stycznia, (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 317 — do 220 —, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 287.— do 292.—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380.— do —.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.— Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc prem 108 70 do 109 40, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99 80 100·50, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100 50 do 101 20, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97 50 do 98 50 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98.— do 98·70 4 proc. os. w 41 i pół latach 97 80 do 98 50 4 proc. los. w 56 lat. 97 40 do 98·10.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pr. 97·40 do 98 10 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 100 50 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102. — do 102.70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105-— —·—, 4 i pół proc. 99.70 do 100.40, 4 proc. z r. 1891 96.80 do 97 50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97·— do 97.70.

Monety Dukat cesarski 5·70 do 5.80, Napoleondor 9.56 do 9.66, Półimperyał 9.80 do —.—, Rubel rosyjski pap. 1.28 50 — 1.29 70, 100 marek niemieckich 59.20 — 59 70.

Wiedeń 2 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 356·50, węgierskie kredyty 393.00, anglobank 161·50, bankverein 140·75, unionbank 285·00, länderbank 231 50, staatsbahny 335.75, lombardy 99.—, elbethale 278.25, akcye tytoniowe 178.00, rima 236.00, alpiny 79.25, renta majowa 99.95, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna - .—, losy tureckie 49.25, węg. renta koronna 98 70, marki 59.3[illegible], ruble 128.2[illegible].

RUCH POCIĄGOW KOLEJOWYCH

obowiązujący z dniem 1 maja 1895 (czas środk.-europejski)

Do Lwowa przychodzą:	Pociągi pospieszne			osobowe			
Z Berlina	1·22	5·10	—	7·00	9·06	9.00	
Z Krakowa (Wrocławia i Wiednia	1·22	8·40	5·10	7·00	9·06	9·00	
Z Warszawy	5·10	—	—	—	9·06	9·00	
Z Muszyny - Krynicy przez Tarnów od 1 czerwca do 30 września	—	—				9·00	
Z Muszyny - Krynicy przez Tarnów lub Rzeszów (od 25 czerwca do 15 września)	5·10	—					
Z Muszyny Krynicy i Mszany d. przez Tarnów	—	—			9·06		
Z Chabówki przez Tarnów lub Rzeszów	5·10	1·22					
Z Rozwadowa i Nadbrzezia	—	—	—	7·00			
Z Rawy przez Jarosław	—	1·22	—	—	9·06		
Z Mező-Laborcz, Pesztu, Miskolcza przez Przemyśl	—	—				9·00	
Z Chabówki przez Przemyśl	—	1·22	—			—	
Z N. Zagórza p. Przem	—	1·22				9·00	
Z Chyrowa p. Przemyśl	—	1·22		7·00		9·00	
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolcza, Munkacza	—			12·05	8·10	—	
Z Hrebenowa, od 10go lipca do 31-go sierpnia				—	—	1·42	
Ze Skolego i Stryja	—			12·05	8·10	1·42	9·16
Z Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—			12·05	8·10	1·42	
Z Suczawy, Husiatyna, Woronienki, Peczeniżyna, Berhomethu, Czudyna, Radowiec, Kimpolungu, Bukar. i Jass	9·50			—			
Z Suczawy, Czortkowa, Woron., Kałusza, Słob. rung., Bukaresztu i Jass	—			1.32			
Z Suczawy, Radowiec, Berh. i Czudyna (każd. poniedziałku), Sopowa	—			6·17			
Z Suczawy, Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Radowiec, Kimpolungu, Jass i Bukaresztu	—			7·37			
Z Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			8·00	4·40		
Z Bełzca	—			—	4·40		
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	2·09	9·44		8·02	4·33		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworz. główny	2·21	10·—		8·25	5·00		
Z Brzuchowic od 12 maja do 10 września						8·25	
Z Zimnej wody co święta i niedzieli aż do odw.						8·15	
Ze Lwowa odchodzą do:							
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	8·40	2·50	11·00	4·55	10·25	6·45	
Warszawy			11·00	4·55	—	6·45	
Muszyny-Krynicy przez Tarnów tylko od 1-go czerwca do 30 września						6·45	
Musz.-Kr. przez Tarnów	8·40		11·00	4·55			
Chabówki przez Tarnów			11·00				
Musz.-Kr. przez Rzeszów			11·00				
Chabówki przez Rzeszów			11·00		10·25		
Rozwadowa i Nadbrzezia	8·40	—	11·00	4·55			
Rawy r. przez Jarosław		2·50	—	4.55			
Mező-Laborcz [Pesztu, Misk.] przez Przemyśl				4·55	6·45		
N. Zagórza przez Przem.				4·55	10·25	6·45	
Chabówki prz. Przemyśl				—	10·25		
Chyrowa przez Przemyśl		2·50		4·55	10·25	6·45	
Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu				5·25	7·38		
Hrebenowa tylko od 10 lipca do 31 sierpnia				—	9·33		
Skolego i Stryja				5·25	9·33	8·00	7·38
Stanisławowa i Chyrowa przez Stryj				—	9·33	7·38	
Chyrowa przez Stryj				5·25	—	—	
Suczawy, Jass, Bukaresztu Husiatyna, Woronienki, Peczeniżyna, Berhometu. Czudyna, Radowiec, Kimpolunga							
Suczawy, Słobody rung., Czudyna i Berhomethu co poniedz., Radowiec	6·15						
Suczawy, Jass, Bukar., Czortkowa, Kałusza. Woronienki, Kimpol.					10·35		
Suczawy, Jass, Bukar., Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Radowiec.					2·40		
Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską.					10·30		
Bełzca				9·15	7·10		
Podw. i Brodów z Podz.				9·15	—		
Podw. i Brodów z gł. dw.	—	2·10	8·00	—	10·14	10·44	
Brzuchowic od 12/5—10 września w dni powsz.	—	1·56	5·46	—	9.50	10·20	
Brzuchowic od 12/5—10/9 w niedzielę i święta						8·20	
Zimn. wody od 12/5—10/9						2·26 3·45	

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach targowych i przewozowych. Czas środkowo europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut. Godz. 12 czas środkowo europejski = godz. 12·36 podług zegara lwowskiego.

59)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartingowej).

(Ciąg dalszy).

Carpisto wydął usta, rozmyślając nad tem, że, jeżeli propozycya Cataríny była uczyniona na seryo, warto byłoby przyspieszyć jej wykonanie. Zdając jej sprawę z rezultatu zebrania Maffii, nadmienił o małżeństwie Luiggiego, lecz nawet jego brutalność i okrucieństwo bandyty cofnęły się przed wyjawieniem wyroku, jaki padł na nią. We własnym interesie pragnął teraz znaglić ją do spełnienia obietnicy, obawiał się bowiem, aby Luiggi nie stanął mu na przeszkodzie. Że jednak ciekawość jego nie była jeszcze w zupełności zaspokojona, zapytał:

— Cóż za interes możesz mieć w tem, ażeby mnie tak obsypywać pieniędzmi?

— Ten, aby zjednać cię dla siebie, abyś odtąd służył mnie, nie Maffii.

— Tam do dyabła! — zaklął Carpisto. — Grubo się ryzykuje w takiej grze!

— Ba!... to i cóż z tego? Gdy tylko spełnisz moją wolę, otrzymasz przekaz na bank angielski, odpłyniesz do Londynu w celu podniesienia pieniędzy i możesz sobie tam zostać, jeżeli ci się podoba.

— To dobra myśl — mruknął Carpisto.

— Więc zgadzasz się?

— Zgadzam — odparł bez wahania.

Catarina odetchnęła swobodniej, a w złotawych jej źrenicach zapaliły się mściwe błyski.

— Do pani Smither! — rozkazała woźnicy, układając się wygodnie na poduszkach.

Gdy wytworna kareta przesuwała się po alei parku, zapełnionego już teraz ekwipażami i konnymi jeźdźcami, Carpisto łamał sobie głowę, jakiej to przysługi żądać będzie od niego Catarina za tak wysoką nagrodę?

Był jednak gotów na wszystko. Otrzymawszy tę sumę, wycofa się z kompanii i żyć będzie z dochodów od swojego kapitału.

Rojąc rozkoszne plany na przyszłość, zatrzymał konie przed bramą willi, zajmowanej przez panie Smither.

Catarina wysiadła i rzuciła mu szeptem:

— Wróć pieszo. Ty jedź do domu, przebierz się, a za godzinę czekaj mnie w kościele Świętego Karola, w bocznej kaplicy...

Carpisto skłonił się z uszanowaniem wprawnego sługi i końcem bata dotknął koni, które ruszyły z miejsca.

Na widok hrabiny d'Evremond, Herkules, który przyszedł jej otworzyć, cofnął się o krok w tył i z przerażeniem zaczął toczyć białkami oczu.

— Cóż to, Herkulesie, nie poznajesz mnie, czy co? — nadrabiając zuchwalstwem rzekła hrabina, w duchu, bowiem, obawiała się, czy Marya nie przykazała służbie wyrzucić ją za drzwi.

To też uspokoiła się, gdy murzyn wyjąkał zakłopotany:

— Może pani hrabina raczy się zatrzymać. Pójdę oznajmić miss Mary jej wizytę.

I wyszedł, zostawiając hrabinę samą, w której umyśle zrodziło się pewne zdziwienie i nieufność, że zachowanie się jej poprzednie nie zdawało się wywołać żadnych zmian w usposobieniu dla niej panny Smither, ani jej domowników.

Przez chwilę rozglądała się dokoła, jakby chcąc sobie zdać sprawę z rozkładu mieszkania, potem szybko przystąpiła do jednych drzwi, otwarła je i zamknęła. Drzwi te wychodziły na schody wewnętrzne, prowadzące do apartamentów; drugie zaś, znajdujące się w pobliżu, prowadziły z głównej sieni do sali jadalnej. Uchyliła je również i zamknęła, a w tej chwili Herkules ukazał się z powrotem.

— Miss Mary prosi panią hrabinę — rzekł tak szczególnym tonem, że mimowolny dreszcz przeszył młodą kobietę i przez chwilę myślała o ratowaniu się ucieczką.

Hartując się, jednak, przeciw obawie spytała:

— Miss Mary ma się lepiej, nieprawdaż?

— Panienka leży dotąd w łóżku — odparł murzyn.

Otwarł przed nią drzwi i przez salę jadalną wyprzedził gościa do przyległego małego saloniku. Catarina rozglądała się po pokojach z ciekawością, której nie zadawała sobie trudu ukrywać, bo ten, który mógł ją podpatrzeć, obrócony był do niej plecami. Zauważyła, że okna dwóch pokojów, przez które przeszła, wychodziły na wewnętrzny dziedziniec willi, bardzo obszerny i okazały, przyozdobiony istnem bogactwem kwiatów i zasadzony drzewami, jakby ogród.

Herkules zastukał do drzwi w głębi apartamentu, a głos osłabiony odpowiedział z wnętrza:

— Proszę.

I znowu błyskawiczna myśl przeleciała przez głowę Cataríny, aby się cofnąć i nie postawić dalej zuchwałych swoich kroków. Zimny pot wystąpił jej na czoło na myśl, że za chwilę znajdzie się w obecności tej, która o mało nie padła ofiarą zemsty. Lecz jednocześnie obraz wiarołomnego Luiggiego stanął jej przed oczyma, a zazdrość ponownie ostre swoje szpony zatopiła w sercu. Uzbroiwszy się w odwagę, stanęła w progu pokoju.

Na łóżku, zasłonionem kotarą, leżała Mary, blada i zmieniona do niepoznania.

Choć wróciła do domu prosto z owego fatalnego spaceru po lesie, a wyssany natychmiast z rany jad kurary nie dokonał śmiertelnego swego dzieła, zostało go, jednak, tyle we krwi, że cały organizm dziewczęcia ucierpiał srodze od zakażenia. To też obecnie, w całej jej istocie toczyła się zacięta walka pomiędzy zabójczą trucizną, a silnie przeciwdziałającemi środkami, które lekarze przepisali chorej.

Rozsypane na batystowej pościeli czarne, długie włosy, okalały matowo białą twarz, w której gorączkowym, na pół przytomnym blaskiem świeciły oczy szeroko rozwarte i błędne. Usta zbielałe i bezkrwiste z trudnością przepuszczały ciężki oddech spracowanych piersi, a spadłe z ciała policzki, sterczące kośćmi, nadawały wyraz zupełnego wycieńczenia tej twarzyczce, tak młodej i pełnej życia jeszcze przed kilku dniami.

Catarina, jakby przykuta do progu, nie śmiała kroku postąpić naprzód.

Powolnym ruchem osłabionej ręki chora wskazała jej krzesło, poczem głosem bezdźwięcznym i, jakby martwym, szepnęła:

— Zostaw nas, Herkulesie.

Murzyn, ani drgnął, a wzrok, który zwrócił na swoją młodą panię, był tak wymowny w swojem niemem błaganiu, że Mary odpowiedziała mu ze smętnym uśmiechem:

— Nie bój się, mój poczciwcze... dozorczyni tu jest przecie. Poda mi, jeżelibym czego potrzebowała.

Wtedy dopiero Catarina spostrzegła we framudze okna starą kobietę, zagłębioną w wysłanym poduszkami fotelu co ją czyniło jeszcze mniejszą i jeszcze chudszą. Twarz jej pożółkła i, jakby pergaminowa, pokryta zmarszczkami, obramowana była wyrurkowanym, sztywnym czepcem białym, a na długim, spiczastym nosie zasadzone miała okulary stalowe. Czarny szal wełniany, okrywający jej ramiona i skrzyżowany na płaskiej piersi, związany był z tyłu; biały fartuch zasłaniał cały przód ciemnej, wełnianej sukni, a nogi, ustawione na taborecie, obute były w grube trzewiki. W rękach, opuszczonych na kolana, trzymała zaczętą pończochę, której jednak w tej chwili nie robiła, bo drzemała w najlepsze.

Catarina rada była z tego, gdyż nie życzyła sobie mieć świadka rozmowy z miss Smither. Mary po raz wtóry dała znak odwiedzającej, aby się przybliżyła, a gdy Catarina usiadła przy łóżku, chora odezwała się do niej głosem pełnym goryczy:

— Przychodzisz pani nacieszyć się widokiem swojego dzieła...

— Ach! Mary — szepnęła — dla czegoż przemawiasz do mnie tak okrutnie? Przebaczyłaś mi przecie tego dnia...

— Tak, lecz od tej pory dowiedziałam się wielu innych rzeczy, i wiem, że mnie oszukałaś niegodnie...

— Ja, Mary?!.. — zdjęta dreszczem zawołała Catarina. — Co ty mówisz?!

— Prawdę.

A widząc, że chce protestować, przerwała nakazująco:

— Milcz... nie tłomacz się. Wyrządziłaś mi ciężką krzywdę, lecz ci przebaczam pod warunkiem, abym cię nigdy więcej na oczy nie widziała i, abyś natychmiast opuściła Nowy Orlean.

— Ależ... — broniła się Włoszka.

— Przestań; nie szukaj wykrętów. Wiem, czego się trzymać. Chciałaś mnie zamordować, lecz dobry Bóg postawił na mojej drodze poczciwych ludzi, którzy ocalili mi życie. Ciebie chciano aresztować... Nie pozwoliłam na to... Niegdyś mieniłaś się moją przyjaciółką i ja cię kochałam... a tak szczerze, prawdziwie kochałam i ufałam ci... Przez pamięć na tę przyjaźń, tak srodze zawiedzioną, nie dopuściłam, aby ci wyrządzono co złego...

Straszliwy błysk zapalił się w zielonych oczach Cataríny, i żądza zbrodni ozwała się znowu w jej mściwem sercu.

(Ciąg dalszy nastąpi).